Nr. 6. Lwów, Niedziela dnia 7. lutego 1875 r. Rok II.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr., półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sgr.

ŁUŻNE UWAGI.

VI.

O SZERZENIU OŚWIATY POMIĘDZY LUDEM.

V. Niezbędnie praktyczną rzeczą jest zakładanie czytelni ludowych, w ten sam sposób urządzonych, jak wypożyczalnie książek w miastach. Znakomity przykład takiej czytelni, widziałem nad Dunajcem w majątku ś. p. jenerała hr. Załuskiego. Zacny proboszcz tamtejszy kilka lat poświęcił pracy, nim dzieło rozwinął, ale miał wolę twardą, wytrwałość, miłość ludu i wiarę w powodzenie swego przedsięwzięcia, więc też dzieło udało mu się wybornie.

Z początku, gdy powziął myśl założenia czytelni, zakupił kilka książek ludowych i miał je w pogotowiu. W kazaniach wspominał często, jak to ludzie niedzieli używają nie na odpoczynek po pracy, jeno na hulanki i obrazę boską, a że możnaby też po nieszporach czemś pożytecznem się zająć, coś przeczytać itd. Słowa gorliwego kapłana o tyle trafiły do serca parafianom, że kiedy po nauce niedzielnej zatrzymywał dzieci, aby im coś odczytać z historji polskiej i starsi się schodzili, ażeby posłuchać. Weszło to w zwyczaj tak bardzo, że prawie cała wieś w niedzielę schodziła się, by po katechizmie wysłuchać czytania. Ponieważ szkółka była we wsi i już było wyrostków kilku, co dobrze czytać się wyuczyli, więc ksiądz odezwał się raz, iż piersi go bolą od czytania, zatem niech czyta który z chłopców, co skończyli szkołę. Znalazł się wnet ochotnik, wprawił się i był wyśmienitym lektorem. Po upływie roku, słuchanie czytania, stało się już potrzebą gromady. Ksiądz widząc to, odezwał się raz, że nadal nie może ludzi na plebanji zgromadzać, bo jest cierpiący, ale — że chętnie pożyczy książek, by je gdzieś we wsi u jakiego gospodarza czytano. Zaczęto pożyczać, aż się książki podarły. Ksiądz wtenczas oświadcza, że jeżeli chcą nadal czytać, to niech nowe sami sobie kupią. W dwa dni złożyła gromada pieniądze, proboszcz sprowadził nowe dzieła i czytelnia rozwijała się po mału. Z początku sam pleban trudnił się wypożyczaniem, ale zwolna przyuczył do obchodzenia się z książkami sprytnego chłopca i ten zapisywał imiona pożyczających, tytuły dzieł, słowem prowadził najzupełniejszą buchalterję tego rodzaju. Trzeba było nowe kupować książki, oprawiać je, więc pleban zaprowadził opłatę od wypożyczania, po 1 cencie od tomu. Lud garnął się i sam widziałem, jak na plebanji po nabożeństwie, ze trzydzieścioro ludzi różnego wieku mężczyzn i kobiet pchało się do owego wiejskiego księgarza odmieniać książki i opłacać centy. A ów księgarz, zamaszysty parobczak o bystrem oku, dzielnie się uwijał za stołem, wpisywał, wydawał książki. Istotnie z prawdziwem uniesieniem patrzało się na tę scenę, niestety tak niezwykłą w naszym kraju. Więcej takich kapłanów, ludzi takich więcej — a możnaby w każdej wsi mieć czytelnię. Przeżałować nie mogę, że mi się zatarła w pamięci nazwa tej miejscowości i nazwisko zacnego plebana.

Zachodzi pytanie, komu dostał się obowiązek w udziale krzewienia oświaty pomiędzy ludem? Zwykle po dworach spotkać się można z tem zdaniem, że trudy to daremne, że z chłopa nic nie będzie, że jeżeli o oświacie mowa, to niech się tem księża i nauczyciele zajmują, gdyż to ich specjalność, ich powołanie. Duch czasu, wieki, walki, pola bitew i rany za ojczyznę, wytworzyły szlachtę, wywodząc garść rolników do wojennego rzemiosła, gdy reszta zostawała na grzędzie, by wojownikom podać kęs chleba, gdy wrócą. Tak więc z jednego pnia wzrósł naród; tak szlachcic kontuszowy, jak i wieśniak siermiężny. Czyż godzi się dawać sobie samemu policzek mówiąc, że z chłopa nic nigdy nie będzie? Co do drugiego, to niezawodnie księża i nauczyciele z powołania swego, są krzewicielami oświaty i mają do tego obowiązek, jako kapłani i nauczyciele. Jednak krzewienie oświaty pomiędzy ludem, jest obowiązkiem nie jednostek specjalnie do tego powołanych, ale obowiązkiem narodu. Kto nie zgasił w swej piersi tych zapałów dla swego narodu, jakie w nim matka roznieciła, kto niezatarł w pamięci tych rapsodów dziejowych, jakie mu ojciec opowiedział i kto nie zagłuszył nuty tej pieśni, jaką słyszał w kolebce: „Jeszcze nie zginęła,“ ten powinien poczuwać się do obowiązku działania wraz z innymi na tem polu, na którem rosną kwiaty naszych nadziei, naszej wiary w przyszłość, na którem mają wyrość miljony do dźwigania Polski.

Więc każdy w swym zakresie, każdy wedle możności, niech pracuje dla ludu, a praca jego będzie pracą dla narodu. Obywatelom ziemskim pozwoliliśmy sobie wskazać sposób spełnienia tego obowiązku, przez zaprowadzenie pism ludowych po karczmach, przez obchodzenie się z ludem delikatniejsze, przez trzymanie na wodzy oficjalistów, aby nie posługiwali się hańbiącemi lud wyrazami. Kapłani mogliby brać przykład z proboszcza z nad Dunajca, panie znalazłyby same przyjemność w urządzaniu teatrzyków: słowem, każdy znajdzie po temu sposobność, jeżeli zechce i jeżeli nie zapomni, że nam p r a c o w a ć wypada dla tej, za którą pokolenia ojców naszych k ł a d ł y s i ę w m o g i ł a c h z orężem w dłoni, od morza do morza.

* * *

SERCE I RĘKA.

POWIEŚĆ PRAWIE HISTORYCZNA

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

To mówiąc wyszedł radzca. Wróciwszy do mieszkania całą noc przygotowywał się do podróży i modlił. O świcie zadysponowane były konie do stacji i wszystko przyrządzone do wyjazdu. Szambelan ukazał się dopiero gdy go zawołano.

— Pan jedziesz ze mną — odezwał się sucho radzca.... Dokąd jedziemy?

— Do Genewy....

Ojca Zygmunta uderzyło to szczególniej że po tak ważnem zwierzeniu zamiast się zbliżyć do niego i poufnie rozmówić, zda-

wał się oddalać i milczał ciągle. W początku drogi przypisywał to nieukołysanemu jeszcze wrażeniu, lecz później zaczęło go to niepokoić. Radzca nie pytał go o szczegóły żadne, nie dopuścił mu ani razu z kondolencjami się rozwodzić, milczał — patrzał osłupiałemi oczyma w okno wagonu, czasem dobywał książkę i modlił się — dozwalał sobą rządzić i kierować w rzeczach praktycznych tyczących się drogi, lecz nie dopuścił szambelanowi zbliżyć się, naradzać, pytać.

Pan baron niespokojnym był nawet nie mogąc odgadnąć, co on uczynić zamierza, — ale po rozmyśle baczniejszym ukoił się sam tą uwagą, że radzca nie może wreszcie postąpić inaczej tylko na drogę obowiązku prowadząc córkę. Był tego pewnym. Żal biednego człowieka tłumaczył zresztą jego pogrążenie w sobie.

Nie zatrzymując się ani na chwilę nigdzie, nie odpoczywając, przebiegli ogromną przestrzeń z szybkością niezmierną i szambelan zbudził się znużony na dworcu kolei... usłyszawszy wykrzykniętą — Genewę....

Tu oczekiwał już nań telegramem zawiadomiony major Redke, któremu się premium uśmiechało. Radzca ledwie rzuciwszy okiem na tę figurę siadł do powozu i rozkazał się wieźć do hotelu...

— Pan szambelan dobrodziej, odda mi tę sprawiedliwość, iż na nagrodę pracowałem sumiennie... i dokazałem czegoś, co się cudem nazwać może!... Dokazałem niepodobieństwa!!

— Ale jesteś pewny?...

— Jak najpewniejszy, bom z kryjówki sam na moje oczy widział Fratellego....

— I nie spłoszyłeś ich? nie uciekną?

— Jakim sposobem? dokoła ich żandarmi pilnują! Musiałem użyć pomocy policyjnej — ale zresztą nie ważyłem się na nic stanowczego do przyjazdu pańskiego... Spodziewam się, że uwzględniając to iż zrobiłem czego by nikt nie mógł inny... dokonać — premium zostanie powiększone....

Major zatarł ręce. Szambelan ponury prawie go nie słuchał.

— Premium musi mi zaliczyć z góry! rzekł w duchu major — inaczej nic... kto wie co później być może.

* * *

Przybywszy do Genewy, szambelan przeprosił radzcę iż go opuścić musi (za co się ten bynajmniej nie gniewał) i prawie nie spoczywając, bo był niezmordowany gdy szło o najwyższe życia cele (rozumie się pieniądze) — pojechał zaraz do syna. Major uprzedził zgóry iż Zygmunt o niczem nie wie, mógłby był bowiem rzecz całą popsuć....

Zdziwiony powitał pustelnik najukochańszego rodzica, a szambelan badając syna, którego znalazł w towarzystwie dwóch Angielek, jednej Rosjanki i Francuza, pocieszył się widząc go odżywionym i już po przebyciu pierwszego perjodu nudów, doskonale zaaklimatyzowanym. Trudno było nawet poznać w nim bohatera tak tragicznego wypadku, któremu małżeństwo niefortunnie się powiodło; ożywiony wielce trzpiotał się z angielką jedną, która wielce w jego dowcipie smakowała, mającgo zapewne za bezżennego jeszcze bałamuta i pracując nad jego ustatkowaniem. Na widok ojca Zygmunt musiał rzucić miłe towarzystwo i pospieszył w jego objęcia. Zdziwiło go nie pomału to niespodziane zjawisko....

— Cóż ojciec tu robi?

— Ale, bardzo naturalnie przybyłem do ciebie — niespokojny byłem, chciałem cię widzić. Dzięki Bogu znajduję cię zupełnie dobrze... nawet rumieniec powraca.

— Cóż ojciec chce? wiekuiście konać z rozpaczy! rzekł Zygmunt — życie dopomina się praw swoich....

— Angielka wcale ładna, szepnął szambelan — ale wiesz że z niemi sprawa zła... Pozywają do sądu....

Baron się rozśmiał.

— Sparzony jestem i nie posunę się pewnie tak daleko, żebym aż sądownie zmuszonym był odpowiadać.

Znał nadto ojca Zygmunt ażeby uwierzył że go tu sama czułość rodzicielska mogła przypędzić, domyślał się więc czegoś więcej. Szambelan zaś nie życzył sobie zdradzać tajemnicy, obawiając się aby mu syn w czem nie przeszkodził, chciał dopiero fakt dokonany zwiastować.

Odsunęli się trochę w głąb ogródka, a major skorzystał z tego i na rachunek Zygmuta poprosił o szklankę zimnego groku.

— Niechże mi ojciec powie otwarcie — patrząc mu w oczy rzekł Zygmunt, co go tu sprowadza?

— Mówiłem ci, troskliwość o ciebie.

— Dziękuję, ale przytem, coś więcej.

— Na dziś, nic.

— Są przecież jakie nadzieje? widoki? może odkryto gdzie zbiegła pani Olimpja?

— Zawsze się spodziewamy odkryć....

— A więc to doprawdy ofiara ze strony ojca za którą nie wiem jak dziękować.

— Wcale nie dziękować! odezwał się szambelan. Widzę cię zdrowszym, wesołym, tego mi dosyć.

— Ojciec tu zabawi?

— Prawdziwie, nie wiem jeszcze.

— Coś to mi wygląda zagadkowo! rozśmiał się Zygmunt.

Ojciec ramionami ruszył.

— Jeśli miłość ojcowska może być dla ciebie zagadkową!

Zygmunt nisko się skłonił. Czuł że się tu nic nie dowie, a razem że coś jest.

Major pił grok, spoglądając z ukosa.

— Ojciec stoi w mieście? rzekł Zygmunt.

— Tak jest, i jutro będę zajęty ale gdy się cokolwiek uwolnię sam przyjadę do ciebie.

Usiedli.

— No — kochany ojcze — żartobliwie nalegał Zygmunt — musiałeś się coś dowiedzieć? przywozisz mi jakieś wiadomości? chcesz mnie przygotować? Jam gotów na wszystko....

— Dotąd nie ma nic — enigmatycznie rzekł szambelan — spuść się na mnie że cię uwiadomię w porę. Jedno tylko to powiedzieć mogę, że dobrze by było, abyś się do podróży przygotował — na wszelki wypadek....

— Wracam tedy do małoletności! trochę urażony przerwał Zygmunt, kiedy we własnej sprawie od udziału odsądzony jestem....

Milczeli trochę.

— Kochany ojcze w polityce i w życiu zły to system, s i n e m e d e m e — wolałbym wiedzieć o co idzie, gdy niezawodnie chodzi o skórę moją.

Szambelan milczał ciągle.

— Jeśli Olimpja się znajdzie, jeśli jakimkolwiek sposobem zbłąkana owieczka zostanie nazad do owczarni przypędzoną, jużciż należałoby mnie spytać, czy ja za nią pójdę?

— Mnie się się zdaje, że to nie ulega żadnej wątpliwości — odezwał się Szambelan.

— Przed parą miesiącami tak było, to prawda — począł Zygmunt zapalając cygaro — ale teraz wiele się rzeczy zmieniło. Naprzód przebolałem, powtóre, nabyłem doświadczenia. Tatku kochany, ty i ja — byliśmy na fałszywej drodze, i palnęliśmy oba bąka. O co szło? nieprawdaż o świetne i bogate ożenienie. Wkładka moja w ten interes była jak jest wychowanie, prestancja, żargon, ton, arystokratyczny tytuł, umiejętność sprzedania się — nie prawdaż. Otóż z tą wkładką daleko można było świetniejszy i łatwiej interes zrobić za granicą niż w kraju. Tu posagi są większe, majątki znaczniejsze, a przyzwoici epuzerowie, z tytułami prawdziwemi, dosyć rzadcy, towar poszukiwany. Byłbym więc łatwo zrobił i mogę jeszcze zrobić interes nader świetny.

Ojciec spojrzał niedowierzająco.

— Najprawdziwsza prawda kochany ojcze — mówił Zygmunt. Ja tu mam Angielkę prawie niezależną, dobrze wychowaną, wnuczkę Baroneta, z posagiem stu tysięcy funtów....

— Byle nie fig — szepnął szambelan ruszając ramionami. Ja się boję tych spekulacyj na walory mi nie znane i do sprawdzenia trudne.... Dajmy temu pokój.

— Wracam do mojego przedmiotu — kończył Zygmunt, pocóż ja mam się męczyć i kobietę zamęczać, kiedy sobie ekwiwalent znajdę, który mi z uśmiechem i dobrą wolą rzuci się w objęcia....

— A! w objęcia! w objęcia rzuci się ich wiele chcesz, rozśmiał się ojciec — ale do obejmowania nie będziesz miał nic oprócz b o s k i e j talji i c u d n e j kibici, a tego za mało dla nas, co nową rodzinę arystokratyczną w kraju fundować chcemy....

— Byłby i tytuł i herb....

— I sto tysięcy fig! dodał trzęsąc głową szambelan. Nie — ja wolę domową sprawę.... Wrócisz do owczarni. Olimpja tego kozła zapomni, ludzie nie wiedzą, a że tam ktoś może coś paplać będzie....

— Ja o to nie dbam — niech paplą — ale moje życie! jak ja wyżyję?... Przestrzegam więc kochanego ojca aby mną zawczasu nie dysponował. To wymaga refleksji.

— Spuść się na mnie.

Po rozmowie tego rodzaju, która się do późna przeciągnęła, szambelan do jutra pożegnał syna i zostawując go na pastwę an-

gielkom, sam odjechał z majorem. Redke go jakoś nie odstępował.

W hotelu zostali już posłańca od radzcy, który żądał widzieć się z szambelanem natychmiast. Major pozostał tymczasem w mieszkaniu barona.

Stary z wyrazem niepokoju na twarzy, poruszony, widocznie zmuszając się do cierpliwości której nie miał, przywitał wchodzącego skinieniem.

— Radbym, rzekł po chwili ponuro, boleśny ten obowiązek jaki spadł na mnie odbyć co najrychlej — zobowiążesz mnie więc pan szambelan, ułatwiając mi jak najprędsze widzenie się z córką moją....

— Wszakże dziś — jest to niepodobieństwem, noc — odezwał się baron... możeby lepiej odłożyć na jutro?

— Po co odkładać? przerwał radzca, ja nie jestem panem siebie i wzruszenia mojego. Miej waćpan litość nademną.... To co się dokonać musi niech się dokona... teraz, zaraz, natychmiast, jak najprędzej proszę.

— Lecz należałoby — naradzić się!

— Ja? radzić się? z kim? ja? tam gdzie idzie o dziecko moje? Ja nie potrzebuję rady niczyjej oprócz mojego sumienia i serca — odezwał się radzca.... Sprawa to moja przedewszystkiem oddajcie ją mnie... i bądźcie spokojni.

Wyrzekłszy to z pewną dumą, radzca przeszedł się po pokoju.

— Sprowadziłeś mnie tu pan, nie dręcz że mnie oczekiwaniem.... Miej litość — proszę....

Zmięszał się nieco baron, nie spodziewając się takiego nalegania, lecz pomyśliwszy uległ.

— Idę natychmiast, rzekł, pomówić z ajentem którego użyłem do odkrycia tego schronienia, a jeśli rzecz możliwa....

— Jeśli rzecz tylko trudna i kosztowna — waćpan wiesz, dorzucił radzca, że ja nie będę żałował nic.... Proszę mnie zastąpić, proszę nie wchodzić w targi — dam co chcą.... Chcą jechać czy iść czy płynąć — natychmiast... nie usnę, nie spocznę....

Szambelan wychodził już, w progu przyszło mu na myśl to co tylko takiemu człowiekowi jak on mogło w chwili podobnej do głowy przystąpić — powiedział sobie że wypadałoby rekuperując tyle kosztów poniesionych na majorze — zarobić — i na radzcy. To maluje go dostatecznie.

Wszedł pospiesznie do pokoju w którym swojego detectora zostawił. Ten palił cygaro i kazał już sobie podać herbatę na rachunek pryncypała....

— Kochany majorze, zawołał przystępując żywo — mamy do czynienia z bardzo niecierpliwym, podrażnionym ojcem mojej... synowej. Jest to człowiek, wieśniak nawykły do tego by wszyscy go słuchali, i by się jego wola spełniała. Wystaw sobie pędzi mnie i domaga się ażeby go natychmiast wieść do córki.

Major pokręcił głową i wskazał na okna przez które czarna noc przeglądała.

— Nie ma sposobu?

Redke głową kręcił.

— Chce koniecznie....

Spojrzeli na siebie.

— Jeżeli się uprze, rzekł, jużciż z wielkim kosztem możemy to zrobić kiedy mu się podoba... to pewna. Lecz, szanowny szambelanie, ja jestem człowiek ubogi, wyekspensowałem się, napracowałem, mogę powiedzieć życie wyszafowałem na to, mamy naprzód rachunek — do skończenia.

— Jakto? wszakże... wprzódy my musimy mieć ich, niż pan pieniądze.

— A! nie, odparł major, bardzo pana szanuję, nieskończenie mu wierzę, ale na kredyt ja nic nie daję....

— Ale to dziwna pretensja! zawołał szambelan.

— Może — ja jednak nie odstąpię od tego....

— Wiesz majorze, że to obudza podejrzenia, bo jużciż kiedy mi wierzysz....

— Nieskończenie... lecz bywają okoliczności.... Najlepiej wprzódy załatwić rachuneczek....

Szambelan widocznie był podrażniony.

— Rachunek ten właściwie należy do radzcy... a mogę zaręczyć za niego.

— Zamiast ręczyć niech pan zapłaci— dodał major — przyjdą potem sceny, rozczulenia, kto wie co się może stać — tragedja jaka, samobójstwo, awantura... którego z was do kozy zapakują, a ja będę dziesięć lat pieniędzy czekał.... Nie! ofuknął się major, pieniądze na stół!! tu!

Szambelan chciał się targować, wreszcie zły, dobył pugilaresu.

— Zatem tysiąc franków....

— Premium, tak — koszta wynoszą trzysta piętnaście i dwadzieścia pięć centymów... razem trzysta piętnaście i centymy.... A że dużo więcej było pracy niż przewidywałem, szambelan będziesz wspaniałomyślnym i... dołożysz.... Musisz dołożyć, bo inaczej nic.

— Przyznam się panu że tegom się nie spodziewał....

— Ani ja, bo w takim razie targ, przerwał major... to niepojęta rzecz. Że ja się targuję — cóż dziwnego, dla mnie to obojętne, ale wam gdy idzie o synowę — o syna?

— Półtora tysiąca franków! zawołał szambelan dobywając papiery....

— Mało....

Targowali się dwaj zacni panowie minut kilka i na tysiącu siedmuset stanęło, a szambelan postanowił sobie radzcy to policzyć przynajmniej trzy tysiące.

— Spodziewam się żeś zadowolony — dodał szambelan już nawet ściskając majora, teraz, natychmiast zajmij się urządzeniem wyprawy....

Spojrzeli na zegarek, — wskazywał jedenastą przed północą.

— Nim konie dostanę i ludzi, będzie północ, nim zajedziemy po ciemku, druga lub trzecia.... Czy to właściwa godzina?...

— Radzca chce jechać zaraz....

— Więc pojedziemy.... Spodziewam się, dodał Redke, iż tę moją przejażdżkę i ostatnią posługę zechcecie uwzględnić i... osobno przedstawić panu... jakże się zowie?

— Panu radzcy....

Szambelan ramionami ruszył zniecierpliwiony.

Redke wysunął się prędko.... Około północy powóz, major i dwóch ludzi wcale nie obiecujących fizjognomij, znaleźli się przed hotelem. Szambelan, radzca i major usiedli do środka, straż na kozłach.... Potrzebę tej gwardji tłumaczył Redke tem, iż na miejscu może wypaść coś nie przewidzianego, wymagającego posługi, wysyłki lub tym podobnie... należało więc i bezpieczniej było mieć w odwodzie dwóch takich zbójów....

W mieście paliły się jeszcze lampy gdzieniegdzie, w wielu lokalach publicznych tłumno nawet było, w miarę jak na przedmieścia zjeżdżali coraz stawało się ciszej i ciemniej. Kiedy niekiedy przesuwał się napity robotnik lub podejrzana postać jakaś sunąca po pod murami. W uboższych domkach rzadko gdzie płonęło światełko.... Cisza zalegała okolice. Noc była bezksiężycowa ale dosyć jasna i gwiaździsta — a chłodna mimo bardzo jeszcze wczesnej jesieni.... Po nad drogą szeleściały już posychającemi liśćmi drzewa... w lewo gdzieniegdzie świeciły odbitem niebem i światełkiem jakiemś wody jeziora.... Droga którą jechali wiła się wciąż prawie ponad jego brzegami, to nieco się przenosząc, to spadając w dół... dokoła opasana murami, ogrodami, drzewy, domami, które w nocy wydawały się jak puste.... W dali łańcuchy gór na jaśniejszym widnokręgu rysowały się zębato a czarno.... Radzca siedział wgłębiony w powóz nie mówiąc słowa, szambelan był wyprostowany i, choć się z tem nie wydawał, tchórzył. Miał rewolwer w kieszeni, a serce mu biło jak młotem. Noc, tajemnicza ta podróż — nieprzewidziane skutki wyprawy, poruszały go do zbytku. Szeptał ciągle wypytując majora — czy daleko? Major potrząsał głową... wyglądał z powozu i dawał do zrozumienia że do celu podróży było jeszcze bardzo a bardzo daleko.

Raz i drugi woźnica stanął koniom wypocząć przed lichemi bardzo bouchon'ami, pod wiechą. Świeciło się w nich, płonął kaganek ale ludzie spali. Radzca się nie ruszył, cały w sobie pogrążony, jakby na pół umarły, tylko ile razy stanęli zrywał się chcąc wysiadać, myśląc że już ta straszna chwila nadeszła....

Przy drugiej karczemce okazało się że koń zgubił podkowę. Woźnica nie chciał jechać dalej, dopóki by coś na to nie poradził. Koń kulał. Zapalono latarnię, ludzie poszli na trakt szukać zguby, znaleziono ją wprawdzie, ale nim się to stało, nim rozbudzono kogoś co miał ufnala i młotka dostarczyć, nim przymocowano podkowę znowu — upłynęła godzina. Szambelan zdrzemnął się — strach go odszedł nieco....

Gdy milę jeszcze ujechali, na niebie na brzask się już brać zaczynało, bo godzinę zmarudzili. Repetjer szambelana wybił czwartą. W pół mroku stały szaremi cieniami drzewa, mury, pagórki... zarysujując się profilami coraz wyraźniej.... Dniało już dobrze gdy major rozmówiwszy się z woźnicą kazał zjechać w prawo wąską drożyną. Wiodła ona ponad strumykiem, obmurowana z obu stron. Z prawej zwieszały się ponad mur i drogę długie gałęzie platanów i kasztanów.... Powóz musiał powoli wywijać się po krętej ścieżynie i wąskich mostkach, aż nareszcie

*

ludzie zeskoczyli z kozłów i landara stanęła po cichu.

Miejsce, w którem się zatrzymała po przebyciu murowanego mostku, było małym placykiem dokoła starannie drzewy ostawionym.... Z poza nich widać było w lewo uliczkę z kilką domkami, w prawo wzgórek obrosły zielenią. Bokiem jego wśród zarośli wiła się ścieżka dla pieszych, wiodąca do murowanej furtki bocznej ogrodu.... Stała ona wśród długiego kamiennego muru opasującego jak się zdawało park, którego piękne stare drzew gałęzie wychylały się w świat jak kwiaty z koszyka....

Radzca natychmiast wyskoczył z powozu.... Redke się do niego zbliżył.

— To jest klucz od furtki którą wnijdziemy niepostrzeżeni do ogrodu.... Od niej dróżyna prowadzi wprost do domu mieszkalnego. Lecz, komu z nas panowie iść każą?

— Jakto? komu? przerwał radzca stanowczo — ja idę sam i nikt a nikt więcej.

— Ale jeżeli by pan potrzebował pomocy?

— Ja? nie potrzebuję żadnej! daj mi waćpan pokój, proszę o klucz!

— A ja! podchwycił nadbiegając szambelan.

— Waćpan?.. ruszył ramionami radzca — ja sądzę że spoczniesz....

— Nie będę potrzebnym?

— Po co?

Nie żegnając, nie patrząc nawet, klucz tylko ściskając w dłoni drgającej konwulsyjnie radzca posunął się ku furtce, otworzył zwolna i z oczów patrzących zniknął. Szambelan, który do innych przymitów łączył pobożność wielką, począł się modlić i zęby mu dzwoniły.... Ranek był chłodny.

Major szukał już bouchon'a, i jakiego takiego rozgrzania. (C. d. n.)

PRZYCZYNKI
do
ZNAJOMOŚCI TATR.

Podał
Dr. E. Janota.

(Ciąg dalszy.)

Z jesienią 1875 r. nowy rozpoczął się okres w dziejach kozicy tatrzańskiej. Towarzystwo tatrzańskie wskrzesiło straż, już 6 października 1866 r. ustanowioną, a ck. starostwo nowotarskie 24 i 26 października 1874 ukarało trzech kłusowników, dwóch poczciwych Podhalan naszych, jednego z Zakopanego, drugiego z Kościelisk, Jędrzeja Zaryckiego i Jana Gronikowskiego (Samka), a trzeciego również uczciwego Jurgowianina, Stefana Kowala.

Czy nowy ten okres w historji dalszego istnienia kozic i świstaków tatrzańskich będzie istotnie lepszym dla nich od poprzedzających, życzyć tego należy i pewnie życzyć będą wszyscy prawdziwi miłośnicy gór i przyrody ojczystej. Że zresztą stanowisko, jakie człowiek zajmuje względem zwierząt, obchodzenie się jego z niemi, opieka, której im udziela, lub dzikie ich prześladowanie są miarą jego moralnego, a często także naukowego ukształcenia i stopnia cywilizacji, który zajmuje, to już nieraz wypowiedziano. Rozumiem, że nie ma się tutaj na myśli zwierząt bezwzględnie szkodliwych, aczkolwiek pastwienia się i nad niemi nikt pochwalać nie będzie. Głęboka tedy prawda tkwi w odpowiedzi naszego Towarzystwa tatrzańskiego na telegram węgierskiego Towarzystwa karpackiego, zamieszczonej w koszyckiej Panonii z dnia 12 maja 1874: „Möge die ewig schöne Natur und der sich an ihr stets erfrischende Menschengeist durch die Alpenvereine die Annäherung der Nationen und ihren wohltätigen Einfluss auf die Humanität sowie die davon abhängigen Schicksale der Menschheit mit jedem Tage fördern."

Daleko smutniejszy jeszcze jest los świstaka[1] w Tatrach niż kozicy. Kozicę prześladuje przeważnie człowiek; z zwierząt drapieżnych jedynie orły porwać mogą czasem koźlę, aczkolwiek matki pilnie strzegą młodych swoich; świstak jako zwierzę niewielkie i nie mogące się wcale mierzyć z kozicą chyżością biegu, daleko łatwiej staje się łupem ptaków drapieżnych. Prawda, że dzisiaj w Tatrach mało albo może wcale żadnych już nie ma miejsc tak niedostępnych dla człowieka, ażeby kozicom za bezpieczne służyć mogły schronienia, bo chociażby i nie mógł dojść człowiek tam, dokąd się dostanie kozica, to on ją ztamtąd wypłoszy, na zaczajonych strzelców napędzi lub w wąziutkich przejściach pozastawia na nię oklepce; przecież uda się jej czasem ujść napaści ludzkich. Tak np. w lecie 1866 Węgrzy bawiący u Szczaw sławkowskich dwa wyprawili polowania na kozice, a jakkolwiek mieli ich widzieć 14 do 18 sztuk[2], przecież dwie tylko napędzono na strzał, a i tych miano chybić. Świstakowi trudno chronić się w turnie dostępne dla kozic, potrzebuje on jako zwierzę żyjące w norach upłazków trawiastych z grubszą warstwą ziemi i zwiru. Liczne trawiaste upłazki Świstówkami zwane ztąd wzięły swoje nazwy, iż je dawniej zamieszkiwały świstaki. Czasem tylko sporządza on sobie legowisko pod spadłym z szczytu jakiego głazem lub w szczelinie skalnej. Tak pod Świnnicą na dosyć spadzistej, bujną trawą porosłej zboczy ponad ostatnim, najwyższym z Pięciu Stawów, widziałem ogromny głaz oderwany, spadły gdzieś z wierzchu, pod którym chowały się świstaki. Były także w Rozpadlicy pod Czerwonym Wierchem Małołączniakiem jeszcze w r. 1867, a następnego lata mówiono mi, że jedna parka pojawiła się nieopodal skał, Żarem zwanych na Ornaku. Że się nie ostały, więcej niż pewna. Zwierzęta te, wprawdzie bardzo bojaźliwe, jednak bardzo świadome tego, że nikomu nie wadzą, obierają sobie częstokroć miejsce do pobytu bardzo nieprzezornie. Tak 24 sierpnia 1865 r. znalazł Fryd. Fuchs na wąskim przesmyku między drugim i trzecim stawem w dolinie Małej Zimnej Wody (2076 m. npm.) rodzinę świstaków w miejscu bardzo niekorzystnie obranem, aczkolwiek dawniej dolina ta była zamieszkaną przez świstaki[3]. Zdarza się czasem, oczywiście w rzadkich wypadkach, że i to zwierzątko dostanie się w miejsce nie łatwo dostępne. Tak wspomina Fuchs, iż już w r. 1862 na całej północnej stronie Tatr jeszcze tylko dwie rodziny świstaków istniały w dolinie Roztoki, zawdzięczające byt swój jedynie niedostępności miejsca[1]. Jakże się więc tam dostały? Prześladowanie kozic da się, aczkolwiek niedostatecznie, przecież jako tako tłumaczyć to namiętnością myśliwską, za którą w ogóle to przemawia, co za każdą inną namiętnością, za każdym innym nałogiem, to tem, że kozica waży przecież kilkadziesiąt funtów, i t. p.; wytępienia świstaków nic a nic nie tłumaczy, a główna tego sprężyna, przesądne i zabobonne używanie przez górali sadła świstaczego jako lekarstwa uniwersalnego na wszystkie istniejące, rzeczywiste i przywidziane ich słabości, właśnie do wykorzenienia tego zabobonu i przesądu, a tem samem do ochraniania świstaków zachęcać i prowadzićby powinno. Również oburzającym jest sposób dostania tych zwierząt używany przez górali naszych, Słowaków węgierskich i Niemców spiskich, tj. zastawianie oklepców, wykopywanie całych rodzin w późnej jesieni, gdy się już ułożyły do snu zimowego, albo wykręcanie ich z podziemnych kryjówek swoich[2]. Tschudi, przyrodnik i sam myśliwy, powiada: „Gdzie przyroda tak troskliwie i cudownie ochrania życie zwierzęcia niewinnego, bezbożnością jest, w opiekę wziętą istotę bezbronną wydobywać z miejsca schronienia i zabijać[3]". Wreszcie kozic, aczkolwiek nie po naszej stronie, to przynajmniej po węgierskiej, w ostatnim dziesiątku częściowo i do czasu ochraniało bądź to branie w dzierżawę od wsi podtatrzańskich większych obszarów halskich nie tak dalece w interesie polowania jak raczej dla ochraniania kozic i w ogóle dziczyzny, jak już o tem wspomniałem, bądź też oględniejsze postępowanie większych właścicieli. Tak według wiadomości piśmiennej z 23 września 1866 z Lewoczy lasy i hale między Batyzowcami[4] na górnym Spiżu i Szczerbą[5] na górnym Liptowie w których gminy okoliczne tylko gdzieniegdzie miały prawo pasania, przez pp. Marjassego i Szentivańskiego ściśle były pilnowane. Za świstakiem tatrzańskim przed r. 1857 podobno nikt się nie ujmował.

Z tych tedy powodów już od lat kilkudziesięciu na północnej stronie Tatr świstak znikł zupełnie, a w Tatrach węgierskich w r. 1865 tylko kilka znajdowało się rodzin. Jako powszechnie znanych wytępiaczów świstaków wspomnieć tutaj można: Jana Buca z Jurgowa, Staro i Nowoleśnian, Kokawianin i Przybylinianin, a zpomiędzy wielu Zakopian i innych Podhalan Szymona Tatara czyli czarnego Szymka. Bucowi, dziś wprawdzie już nieżyjącemu, najgorsze w tym względzie świadectwo daje Fryd. Fuchs[6]. Staro i Nowoleśnianie już za czasów Maukscha dobrze znani byli jako kłusownicy, a tygodnik spiski Zipser Anzeiger w lat czterdzieści później potwierdza to niepochlebne zdanie[7], mówiąc, że oni odznaczają się w tamtych stronach jako kłusownicy, że prawie co tygodnia zaopatrują okolicę w kozice a 16 października (1865) przynieśli dwie rodziny świstaków z dziesięciu zwierząt złożone na sprzedaż do Kiezmarku. Fuchs dorozumiewał się, że to były widziane przez niego 24 sierpnia tegoż roku (1865) świstaki z doliny Małej

---

[1] Po dokładną wiadomość o tym ciekawym mieszkańcu gór odsyłam do monografji prof. Dra M. Nowickiego: O świstaku. Kraków, 1865.

[2] Oczywiście nie razem i nie od razu, lecz podczas obu tych polowań, przyczem najprawdopodobniej te same okazy, przeganiane i uciekające z jednego miejsca na drugie, kilka razy widziano. Rzeczywista zatem liczba kozic wówczas widzianych według wszelkiego prawdopodobieństwa musiała być mniejszą.

[3] Zipser Anzeiger. 1865. 174.

---

[1] Zipser Anzeiger. 1865, 173.

[2] Tamże 18.

[3] W dziele już wspominanem 466.

[4] Botzdorf.

[5] (Csorba węg.), Strba (słow.)

[6] Die Central-Karpathen. Pest, 1863. 1 32—135.

[7] Zipser Anzeiger. 1865. 174.
1865, 170.

Zimnej Wody[1]. Kokowianie i Przybylinianie uczęszczają na targi w Czarnym Dunajcu i przez dolinę raczkową lub kamienistą i kościeliską najwięcej ułatwioną mają styczność z Podhalanami nowotarskimi, mianowicie z Kościeliszczanami czyli Polaninami, Witowianami, Dzianiszanami itd. Szymon Tatar jest to okaz górala Podtatrzanina, przypominający każdemu, kto go dokładniej poznał, ujemną stronę tych ludzi, wybornie skreśloną przez Wł. L. Anczyca w rozprawie: Zakopane i lud podhalski[2]. Wspomniałem o nim wprawdzie jako o dobrym przewodniku w rozprawce: Przewodnicy zakopiańscy[3]. Lepsze wówczas o nim miałem wyobrażenie. Umie on, jak w ogóle górale, a szczególnie Podhalanie, przychlebiać się, składać i układać się, gdzie mu to korzyść jaką przynieść może. On według własnego przyznania się w jesieni 1868 powybijał wspomnione powyżej świstaki w Rozpadlicy pod Czerwonym Wierchem, aczkolwiek przed ówczesnym leśniczym kościeliskiem K. na kłusownika Janosika to składał; on także wykopał świstaki w Wałętkowej i w innych miejscach, jak mi o tem wspomniano. (D. n.)

FRANCJA DZISIEJSZA

POD WZGLĘDEM LITERACKIM I ARTYSTYCZNYM.

Rzecz dla „Tygodnia" napisana

przez

L. PICARD'A.

(Dokończenie.)

VIII.

MALARSTWO I RZEŹBA.

Francja jest rewolucyjna. Taką też okazała się w malarstwie przed pięćdziesięciu laty. Szkoła francuska, za pierwszego cesarstwa reprezentowana przez Dawida Guerin i całą akademię, nagle ujrzała się pobitą na wyłomie przez ludzi nowych, przybyłych z nowemi pojęciami, zupełnie sprzecznemi z przyjętemi zasadami. Był to romantyzm, mający na czele Delacroix. Podobny przewrot miał miejsce i w literaturze; Wiktor Hugo, Teofil Gauthier, Sainte-Beuve itd. wywrócili do fundamentów stary klasycyzm i na jego zwaliskach zatknęli sztandar romantyzmu. W malarstwie koloryt, idea, niespodzianka, zastąpiły rysunek, linję, konwenans. Szkoła klasyczna ostała się jednak i nawet do dziś dnia ma kilku adeptów. W owej epoce była ona świetną i zajmującą. Ingres nie tyle malował ile rysował cudnemi czystemi linjami. W otoczeniu mistrza zajęli miejsca Hesse, Leon Cogniet, Cabanel, Amaury Duval i t. d. a obok nich wielki Delaroche.

Delacroix sam prawie stawił czoło tej zwartej kohorcie. Przybywał on z paletrą Wenecjan czy Hiszpanów, lekceważył sobie zasady zatwierdzone przez akademie, skandalizował, przerażał nieco, jak wszyscy nowatorowie.

Z tej walki i z tego oporu wyłoniła się nowa szkoła francuska. W obecnej chwili jest ona eklektyczną, czerpie z dwóch źródeł, otrzymując natchnienia tak dobrze z klasycznej surowości jak i z uniesień i energji romantyzmu. Straciła ona swą oryginalność; ale gdy brak jej entuzjazmu wytwarzającego się w walce, celuje ona w rodzajach drugorzędnych. Szkoła francuska, świetna w krajobrazach i w scenach z życia rodzinnego, jest tylko mierną w malarstwie historycznem.

Trzeba wszakże uczynić wzmiankę o pewnym rodzaju, jeżeli to tak nazwać można, który wyszedł na jaw od kilku lat. Jest to realizm. Szkoła ta, którą bardzo wychwalano, a którą zanadto często pogardzano, ma mistrzem Courbet'a. Zrobiwszy taką definicję, przechodzę do przeglądu celniejszych malowideł.

Malarstwo portretowe stanowiło jedną ze świetnych stron sztuki francuskiej. Dziś jeszcze jest ono godnie reprezentowane. Panna Nelly Jacquemart jest malarką urzędową; wymalowała ona w r. 1872 portret Thiersa, gdy ten był prezydentem. P. Dubuffe ma wiele cech klasycznych; figury jego są umarłe, a obrazy świetnieją czystością. Jest to niezrównany krawiec damski. P. Carolus Disran zdaje się zapożyczać swą manierę u Flamandczyków i Hiszpanów; nie upiększa on swoich modelów. Podoba sobie w zuchwałych atakach i otwartem brutalstwie. Posiada uniesienie i fantazję francuską.

Malarstwo wojenne ma także swoich mistrzów, jak Horacjusz Vernet, Yvon, Pils, Bellenger. Na ostatnich wystawach słabo było ono reprezentowane. Nie bardzo korci artystów, przedewszystkiem dbających o swą popularność, malować klęski. P. Protais, malarz zawsze modny, doskonale oddaje sentymentalnych żołnierzy, romantycznych sierżantów i elegicznych oficerów. Dwa jego ostatnie obrazy chylą się ku stronie melodramatycznej, lecz nie uderzają w oczy. Jest to „Rozstanie" (armja w Metz) i „Więźnie" (okolice Metz.) P. Neuville, który odtworzył znakomitą kartę z oblężenia Paryża „Biwak w Bourget" w tym roku dał na wystawę „Walkę na kolei żelaznej." P. Detaille, uczeń Meissonniera, wystawił świetną „Szarżę kawalerji."

Prawdziwa wartość teraźniejszej szkoły francuskiej zawiera się w tem co możnaby nazwać malarstwem archeologicznem. Mistrzem jest tu Gérome. Jego „Szara eminencja" jest arcydziełem. Gardząc historycznemi konwenansami szkoły Dawida i anachronizmami szkoły weneckiej, oddaje on na płótnie szczegóły z wszelką dokładnością, zachowując fizjonomię epoki. Obrazy jego są wywołaniem przeszłości. Dany okres historyczny odradza się pod jego ręką ze współczesnemi typami, akcesorjami, obyczajami, życiem. Na tej drodze wielu ma naśladowców jak Vibert, twórca „Wymówki" obrazu nacechowanego lokalnym hiszpańskim kolorytem, Alma Tadema, który w tym roku wystawił „Dziesiątą plagę egipską," płótno pełne wspomnień z ojczyzny Izydy i Ozyrysa. Malarz ten przedewszystkiem goni za archaizmami, maluje neo-grecyzm. W „Rzymskim cesarzu," ze zdumiewającą prawdą historyczną przedstawia on owego Klaudjusza, którego, jak mówi Swetoniusz, żołnierze wydostali z kryjówki by zrobić cesarzem.

Szkoły orjentalnej mistrzem jest zawsze Fromentin. Nie podobna mówić o malarstwie tego rodzaju nie wspomniawszy o Regnault, zabitym pod murami Paryża, który pozostawił po sobie wielkie imię jako kolorysta. Miał on naśladowców, jak Clairin, przyjaciel jego, twórca „Wymordowania Abenseragów."

Gustaw Doré, talent świetny, nieco apokaliptyczny w swym rysunku, nie jest dobrym malarzem. W tym roku silił się w „Męczennikach chrześcijańskich" odrodzić malarstwo religijne. Doremu można przebaczyć jego malarskie próby za illustracje do Danta, Rabelais, Cerwantesa, które rozpowszechniły się po całej Europie.

Chaplin jest to talent miły i lekki, swym wdziękiem, łatwym i lubieżnym, przypominający wiek XVII. Przyjemny kolorysta, dobry malarz buduarowy.

Malarstwo krajobrazowe uświetnione we Francji przez Claude, Poussina, Decamp itd. jest dotąd jednem z najświetniejszych.

Corot, malarz jezior, tajemniczych lasów, wiosennych poranków, mgły wieczornej, co roku wystawia pochmurny wieczór, albo poranek nad wodą z kilku ulotnemi nimfami, lub dryadami występującemi z kory dębowej. Daubigny jest doskonałym tłumaczem natury; Cabat jest malarzem surowych krajobrazów celtyckich, gęstych lasów gallickich, starych garbatych dębów z czasów druidów. Dodać tu trzeba Juliusza Breton, malującego naturę melancholijną, nie włoskie ani wschodnie niebo, ale piaski, jałowe łąki; znakomity to malarz. François, w r. 1872 wystawił „Dafnisa i Chloe," krajobrazy jego przywodzą na pamięć Teokryta, lub Wirgiliusza. Veyrassau maluje wieśniaczki i pola słońcem ozłocone.

W malarstwie historycznem widzimy szlachetne dążności i wielkie usiłowania, ale brak szczytnej tradycji.

Chavannes bazgrze rozległe kompozycje. W rysunku swym przypomina on kompozycje ascetyczne wieków średnich. Couture, twórca „Upadku Rzymian" ma odbłysk Veroneza; Didier wymalował tego roku „Śmierć Fieska," Levy naśladuje Wenecjan i Flamandczyków, Thirion Tycyana.

Nakoniec Courbet, głowa szkoły realistów, z powodu którego tyle powstało hałasu w ostatnich czasach. Nieprzyjaciele przedstawiają go jako nadzwyczaj próżnego, ucinającego, jak Alcybiades, ogon swemu psu. Utwory jego zawsze wywoływały wrażenie w świecie artystycznym. Odtwarza on naturę jak ją widzi, sprzecznie ze szkołą, która przedstawia ją tak jak czuje. Od trzech lat jest wyłączony z wystawy z powodów politycznych.

Rzeźbiarstwo jest najczystszą i najważniejszą ze sztuk. Żyje ono po za obrębem interesów zewnętrznych i kaprysów mody. We Francji sztuka ta utraciła swą oryginalność. Szkoła francuska już nie tworzy; szuka powodzenia w naśladownictwie, zbyt dosłownie przyjmując maksymę Laharpa „Wyobrażać sobie, znaczy przypominać."

Jednak naśladując mistrzów sztuki posągowej, szkoła francuska dodała do nich cechę swego temperamentu. Puget, Jan Goujon i Germain Pilon szukali natchnienia w czystem źródle starożytności, nie przestając być Francuzami. Dzisiejsi rzeźbiarze francuscy mają ich zalety, nie tracąc z oczu sztuki gotyckiej, renaissance itd.

Dawid d' Anger, antyczny pod względem rysunku, współczesny pod względem stylu, przeważnie wpłynął na sztukę, uczniowie jego, między innymi Ottin Aimé Millet, zachowali zdrowe tradycje mistrza. Jeden z nich Carriet-Belleuse ma nawet giętkość i żywe poczucie malowniczej rzeczywistości, chociaż jest więcej lekki.

Rude może być umieszczony w pierwszym szeregu francuskich rzeźbiarzy. Utwor jego jest namiętny, żywy, pełen poetycznego tchnienia. Cały świat zna i uwielbia jego dwa wielkie dzieła: „Marsyljankę" i *Chant du départ* wyrzeźbiane na Łuku tryumfalnym. Z pracowni

---

[1] Tamże 174.
[2] Tygodnik illustr. Tom XIV. Warszawa, 1874. Num. 341—342.
[3] Kłosy. Warszawa, 1866 Num. 75.

jego wyszli Christophe i Carpeaux, który utworzył sławnego „Ugolina“ i wyrzeźbił znakomitą grupę „Taniec“ na fasadzie Nowej Opery. Grupa ta, cielesna i ożywiona, wzbudziła pewne wątpliwości w czystych duszach pewnej klerykalnej koterji.

Nakoniec Pradier był głową szkoły nowopogańskiej, przedewszystkiem zajmującej się wyrażeniem wdzięku, wykwintności i lubieżności. U Pradjera, zawsze poszukującego piękności plastycznej, marmur mięknie jak ciało. Za cesarstwa przesada w tym rodzaju wytworzyła ową rzeźbę zdrobniałą, poniżoną, skłaniającą się ku erotyzmowi, nęcącą.

Z uczniów Pradiera wymienić należy K. Simarta, Henryka Chopa, Eliasza Roberta.

Jednem słowem sztuka francuska przestała być narodową, by stać się kosmopolityczną. Wada ta stała się również przyczyną upadku spadkobierców Fidiasza i Apellesa. Przedewszystkiem należy pracować dla ojczyzny. Być może, że nastąpi czas, w którym sztuka francuska nabierze więcej męzkości. Do tego trzeba by obyczaje i gusta zmieniły się i by przycichły bezpłodne namiętności. Potrzeba by Francja, jak za czasów republik greckich i włoskich, uprawiała piękno wśród spokoju i wolności.

L. Picard.

DZIEDZICZNOŚĆ CHARAKTERU

przez

A... S...

II.

(Ciąg dalszy).

Charakterem nazywam uzdolnienie moralne człowieka. Nie należy jednak wyrazu m o r a l n e brać tylko w dodatniem znaczeniu. Bo chociaż zwykle mówimy o człowieku złym, że on „nie ma charakteru“ jestto wszakże błąd mowy, która często uprawnia nazwy pozbawione wszelkiej ścisłości. *) Charakter posiadamy wszyscy, chociaż jego odmiany nieraz stoją do siebie w przeciwległym stosunku. Ale jak nie można odmówić myśli ludziom ograniczonym i przyznać ją wyłącznie genjalnym, również nie można odmówić charakteru złym a przyznać go tylko dobrym. Jeżeli zaś ktoś jego mianem chrzci jedynie usposobienia cnotliwe, w takim razie usuwając się od wszelkiej sprzeczki zaznaczyć muszę, że w obecnej rozprawie nie uwzględniam zupełnie takiego zapatrywania i mówiąc o dziedziczności charakteru mówić będę o dziedziczności zarówno dodatnich jak ujemnych usposobień moralnych.

Zagadnienie nasze stawia nam do rozwiązania i wyboru taką alternatywę: albo charakter jest dziedziczny i niezmienny; albo też dziedziczny i zmienny t. j. ulegający wpływom towarzyszącym jego rozwojowi. Wprawdzie pośród tych dwu opinji staje trzecia, według której (Locke) dusza ludzka jest „tabula rasa“ i dopiero wychowanie i życie zapisują na niej przeznaczenie i prawa człowieka — pogląd ten jednakże został już dawno zarzucony i zresztą fakta, które wyżej przytoczyłem, dostatecznie wykazują jego bezzasadność. Pozostają nam więc tylko dwa wyżej naprzeciw siebie postawione twierdzenia. Oba mają bardzo wielu z bardzo znakomitych obrońców, ażeby jednak nie plątać czytelnika w mało różniące się sądy pierwszego stronnictwa, wybieram zeń najgłówniejszego i najwyraźniej te mniemania wypowiadającego przywódcę, mianowicie — Schopenhauera.

Charakter człowieka — powiada on — jest stały, pozostaje tenże sam przez całe życie. Wśród przeróżnych osłon życia, stosunków, wiedzy i poglądów, identyczny i właściwy człowiek tkwi niby rak w swej skorupie — jeden i niezmienny. Charakter jego tylko w skierowaniu i treści ulega pozornym modyfikacjom, będącym skutkiem różnych okresów życia i ich potrzeb. Człowiek nigdy się nie zmienia: jak postąpuje w jednym wypadku tak postępować będzie zawsze wśród podobnych okoliczności. Prawdę tę może nam stwierdzić codzienne doświadczenie: najbardziej jednak ona nas uderzy, jeśli jakiego znajomego spotkamy po 20. lub 30. latach niewidzenia. Może ktoś gołosłownie zaprzeczyć, jednak czynem tego dowiedzie, bo temu który raz oszukał wierzyć nie będzie, lecz zaufa innemu o którego uczciwości się przekonał. Na tej bowiem prawdzie polega możliwość poznania ludzi i niezachwianej ufności, względem wyprobowanych. Nawet jeśli takie zaufanie kiedykolwiek nas zawiedzie nie mówimy: „jego charakter się zmienił“, „lecz pomyliłem się.“ Na tej prawdzie opiera się dalej nasz sąd o moralnej wartości czynu, gdyż przedewszystkiem staramy się poznać jego pobudkę, choć wtedy nasza pochwała lub nagana nie dotyczy owej pobudki lecz charakteru, który jej uległ. Na tej prawdzie również spoczywa nasza godność, która raz stracona, nigdy się odzyskać nie da a znamię niegodnego czynu na zawsze przylega do człowieka i jak mówią piętnuje go. Ztąd przysłowie: „kto raz ukradł, będzie przez całe życie złodziejem.“ Dla tego również jeśli kiedykolwiek w ważnych sprawach państwowych zajdzie potrzeba zdrady, zdrajca bywa poszukiwany i nagradzany; po osiągnięciu jednak przezeń celu roztropność nakazuje go oddalić, gdyż okoliczności zmieniają się, charakter nie. Ztąd też jest wielkim błędem dramatycznych poetów, że ich postacie nie są utrzymywane i przeprowadzone za ścisłą konsekwencją jednej i tej samej natury. Tem również tłomaczyć trzeba drażliwość sumienia, które często w starości wyrzuca nam przestępstwa młodego wieku, jak to np. widzimy na J. J. Rousseau, który po 40 latach pamiętał że oskarżył swą służącę o złodziejstwo, które sam popełnił. Było to możliwe jedynie dla tego, że charakter pozostał niezmiennym; gdy tymczasem przeciwnie najśmieszniejsze pomyłki, najgrubsza niewiadomość, największe głupstwa naszej młodości nie wstydzą nas w wieku dojrzałym: wszystko to bowiem się zmieniło, to były rzeczy poznania, z których wyrośliśmy i które zdjęliśmy jak dziecinne ubranie. Człowiek znając swe błędy i ułomności, nawet brzydząc się niemi przy najszczerszym zamiarze poprawy właściwie nigdy się nie poprawia, lecz pomimo tych obietnic i zamiarów przy zdarzonej sposobności znowu na tę samą drogę wstępuje. Tylko wiedza daje się prostować; charakter jest niezmienny, pobudki w działaniu swojem posiadają konieczność. Ztąd też chęć usunięcia niedostatków z charakteru człowieka przez morały, namowy i tym sposobem przetworzenia jego moralności równa się chęci zamienienia przez wpływ zewnętrzny ołowiu w złoto, albo wyhodowania tak dębu aby rodził morele.

Powtóre charakter jest wrodzony, to znaczy że nie jest bynajmniej dziełem sztuki lub przypadkowi podległych okoliczności, lecz dziełem natury. Już w dziecku objawia się czem będzie w starcu. Ztąd też dzieci wzrosłe w temżesamem wychowaniu i otoczeniu okazują potem z gruntu różny charakter. Przytem jest on dziedziczny — chociaż tylko po ojcu tak jak inteligencja po matce. Z tego wykładu istoty jednostkowego charakteru wynika w samej rzeczy iż cnoty i występki są wrodzone. *)

Taki jest pogląd Schopenhauera, który może służyć za typ całego stronnictwa fatalistów. Hipoteza ta (chociaż ją autor za matematyczną prawdę podaje) właściwie mówiąc nie zasługuje na polemikę. Schopenhauer bowiem według zwyczaju swych współrodaków, którym *reine Vernunft* zawsze tajemnice najtrudniejszych zagadek odsłania i którzy z wolnym od wszelkiej skromności absolutyzmem majaczenia swe światu narzucają, nie troszczył się bynajmniej o dostarczenie faktów popierających jego wywód. W filozofji niemieckiej utrzymuje się przez wszystkich niemal jej adeptów piastowana tradycja pisania traktatów w formie despotycznych ukazów. Sam Kant który najdalej posunął filozoficzną analizę, zbudował swój etyczny systemat na „kategorycznym rozkazie czystego rozumu“ i gdy mu przyszło wytłómaczyć racje postawionego prawa wyznał ze szczerą naiwnością, że ten rozkaz nie może i nie powinien być objaśniany: dość że taki jest, a skoro jest trzeba mu być posłusznym. Irzecz dziwna, że komentatorowie sławnego twórcy militarnej logiki zaczepiali wszystkie jej punkta, najmniejszy jednak fałsz uczuwali w tym absolutyzmie, który przecież moralną doktrynę Kanta czynił zawsze wstrętną a wobec dzisiejszych pojęć odziera ją z wszelkiego na obecną dobę znaczenia. Schopenhauer, który mimochodem dostrzegł i zganił tę wadliwość swego poprzednika, sam ją w sobie zdradził. To co powiedział i co w krótkości przytoczyłem o dziedziczności charakteru, jest na wskróś filozoficznym ukazem. Pożniej przez właściwe określenie przedmiotu czytelnik w porównaniu dostrzeże, co jego teorja jest warta, teraz więc tylko przykładowo zaznaczę, iż według niej tenże sam cytowany Rousseau powinien być przez całe życie złodziejem. W końcu nadmienić wypada, że ona znosi zupełnie moralną odpowiedzialność. Bo jeżeli rodzę się złym i żadne wpływy charakteru mego zmienić nie mogą, w takim razie za żadną zbrodnię nie jestem poczytalny. To też Schopenhauer, który ze szczególnym naciskiem upominał filozofów ażeby ci nieoglądając się na wnioski ze swych zasad byli względem nich konsekwentni, gdy mu stanął przed oczyma potworny rezultat jego własnych zasad, schronił się z bojaźni w mglisty świat kantowskiego *Vernunft'u* ażeby tam wykrętem ukanonizować swe grzeszne pomysły. „Odpowiedzialność wprawdzie nie istnieje w *operari* ale istnieje w *esse*“ — szkoda tylko że tego nikt nie zrozumiał — może nawet nie wyłączając autora.

(C. d. n.)

*) Tak np. wiadomo, że czelny i bezczelny mimo wyraźnej różnicy znaczenia, określają dziś jedno i toż samo pojęcie. Język więc tu znowu postąpił odwrotnie.

*) *Ar.* Schopenhauer: *Die beiden Grundprobleme der Ethik*, Leipzig 1860 str. 51 i następne.

PO WOJNIE r. 1831,

część II. pamiętników

Ignacego hr. Komorowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Koło dużego, czarnego, owalnego stołu, zastawionego zimnemi i gorącemi dobrze już ponadpoczynanemi potrawami, przyrządem do herbaty,

butelkami dobrego węgierskiego wina, szklankami i kieliszkami; siedziało i stało kilkanaście osób. Między tymi z pełną szklanką w ręku rezonujący dość cichym głosem poseł Jan Ledóchowski, tudzież prezes komisji wojewodzkiej w Radomiu, Janusiewicz, Walery Wielogłowski, Załęski obywatel sandomirski, który ks. Adama przywiózł do Słupi, i kilku jeszcze wojskowych. Naprzeciwko ugaszczali księża oficerów całego korpusu, którzy co chwilę się zmieniali, i co chwilę nowe na stołach zastawiali jadła. Wszyscy błogosławili gościnność szanownego opata, którego nazwiska żal mi bardzo że zapomniałem. Między oficerami, z wielką radością ujrzałem kochanego mego dawnego kolegę Tadeusza Bielińskiego którego od lutego nie widział, a który wraz z księciem, przez Wisłę się przeprawił. Uściskaliśmy się serdecznie, po czem zabrałem się do jedzenia. Ledwie usta obtarłem, wręczył mi generał rozkaz do Zabiełły, a książe dwie ekspedycje które miałem z Kielc sztafetą posłać; jednę do Krakowa do komitetu tamtejszego, drugą do Jędrzejowa, do księżnej, która tam przyjechać miała.

Bieliński sprowadził mnie po schodkach na dziedziniec, jakiś sługus domowy poświecił latarnią, bo tak było ciemno, żem ani wózka ani koni czekających na mnie nie widział.

Ekwipaż składał się z maleńkiego bardzo drabiniastego wózka, z 3-koni małych i chudych, i z mazura żwawego, w płótniance niebieskiem suknem podbitej i w słomianym kapeluszu, który całą uprząż jednym dyrygował sznurkiem, co miało lejce reprezentować.

Przyznam się, że mnie trochę dreszcz przeszedł na myśl takiej zaprzęży; wiedziałem bowiem, bom już poprzednio był w tych górach, jakiemi wąskiemi drogami, po nad przepaściami marmurowemi jechać mamy. Pożegnawszy Bielińskiego wyskoczyłem na wózek, rozesłałem sobie słomę, między niskiemi drabinkami położyłem się na niej i wyciągnąłem, w tem mocnem przekonaniu, że się przebudzę gdzieś w przepaści z której wprost na łono Abrahama pomaszeruję. Oddaliwszy się od światła, znaleźliśmy się znowu w okropnej zamglonej ciemności i zaraz w górach. Ze stoiczną rezygnacją zasnąłem w krótce i dopiero mocno dogrzewające słońce przebudziło mnie już na piaszczystej równininie.

Mazur głosem i biczykiem zachęcając konie jechał doskonale, wózek nie kuty nic się prawie w piasku nie zużywał więc też posuwaliśmy się drobnym ale szybkim kłusem. Jakaś mała wioska znalazła się na drodze, kazałem stanąć i szkapom wytchnąć, a woźnicę wódką potraktowawszy, spytałem czy daleko jeszcze do Kielc. „Za dobre dwie godziny tam zajedziewa, tylko tera skapy napoić.“ Obok drogi płynął strumyk czystej wody z gór spadający; Mazur zaprowadził do niego konie, napoił porządnie, zaprzągł w minucie, znowu zaczął świstać biczem, a ja kończyć sen, którego mi wielka jeszcze czuć się dawała potrzeba.

Zajechaliśmy w mieście do znajomej mi oberży; zapłaciłem furmanowi i poszedłem natychmiast do komendanta placu, żeby się o Zabiełłę dowiedzić. Pan komendant podpułkownik, którego nazwisko zapomniałem, należał do liczby tych, co rewolucji całkiem nie sprzyjali. Pakazałem mu rozkaz Generała, jak na ten czas naczelnego dowódzcy w województwach Sandomirskiem, Krakowskiem i Kaliskiem. Z kwaśną i nieukontentowaną miną rozkaz przeczytał, posłał prosić do siebie Zabiełłę, i zaczął mnie wypytywać, co myślimy robić wiedząc, że i Warszawa wzięta i Ramorino uchronił się za granicę? Odpowiedziałem mu, że ani moją ani jego rzeczą nie jest odgadywanie zamysłów Generała, ja mam rozkaz, a do tego stosować się musimy bez żadnych z naszej strony uwag.

Nadszedł Zabiełło, człowiek bardzo miłej powierzchowności, ozdobiony krzyżem legji honorowej. Po ukończonej wojnie w r. 1815 ciągle mieszkał on w Paryżu. Przeczytawszy rozkaz, powiedział mi, że jest gotów jechać w ten moment. Dałem mu rendez vous w oberży, a sam poszedłem na pocztę.

Na poczcie oddałem do posłania sztafetami moje 2 ekspedycje księcia Adama, zapłaciwszy ile poczmistrz sobie kazał. Pokazałem mu mój rozkaz i zażądałem natychmiast koni do powrotu go Słupi. Poczmistrz wręcz mi odpowiedział, że konie wszystkie są w rozgonie, i że żadnych nie ma. Zaprowadził mnie do stajni i rzeczywiście znajdowały się tam tylko trzy wywłoki z których dwa już osiodłane miały iść z depeszami.

Ja nastawałem, poczmistrz ostro mi się stawiał, i chciał dać poznać, że władza nasza wkrótce ustanie, bo Moskale lada dzień spodziewani. Że jeżeli chcę, mogę czekać niż które koni wrócą, obrok zjedzą i wypoczną, to nam je da.

Dostawszy taką odpowiedź, poleciałem nazad do komendanta placu, żeby mi w tem położeniu dopomógł. Po drodze dowiedziałem się od jakiegoś młodego mieszczanina, że konie są, tylko w obcych stajniach stoją. Przymusiłem niechętnego komendanta, żeby ze mną na pocztę poszedł. Zażądałem powtórnie w obecności jego koni; a gdy znowu podobne dawał odpowiedzi; rzekłem: „Wiem, że pan konie masz i to mu udowodnię. Wiem, że pan jesteś nie życzliwym sprawie, której ja służę. Ale to pan wiedz, że nim się doczekasz przyjaciół swoich Moskali, ja pana pod sąd wojenny oddam, a skutki tego łatwo pan przewidzieć możesz.“ Po tej allokucji, komendant wziął go na stronę, długo dość cicho gadali, chodząc po dziedzińcu, poczem wyszedłszy z za węgła, spiesznie przyszedł do mnie, siedzącego na ławce w ganku. „Właśnie niespodziewanie wróciły konie z rozjazdu, za pół godziny będą zaprzężone. Gdzie mam kazać zajechać? Ale że to konie zmęczone więc muszę dać cztery za które należy się tyle i tyle.“

Zapłaciłem żądaną kwotę wziąłem na to kwit i obracając się do komendanta rzekłem:

— Ja pana pułkownika odpowiedzialnym robię za akuratność poczmistrza.

Dałem adres oberży, gdzie na mnie Zabiełło czekał, i lekko salutując pułkownika odszedłem.

Zabiełło zamówił już śniadanie; zjadłszy i kupiwszy na deser bardzo ładnych śliwek, wsiedliśmy do małego wózka czterema świeżemi końmi zaprzężonego. Poczęstowany pocztyljon wyznał, że już dwa dni minęły jak te szkapy nigdzie nie chodziły.

Duże i dobre konie zawiozły nas do Słupi przed zachodem słońca.

Przez drogę ciągleśmy gadali z Zabiełłą który i lubił mówić i co mówił warto było słuchać, bo miał bardzo zdrowy pogląd na wszystko, co się wojskowości tyczyło.

Przybył on z Francji już po bitwie pod Ostrołęką; zamieszczony w sztabie Naczelnego wodza, którego mundur na sobie nosił, nie wiem jak długo bawił w Warszawie, to mi tylko mówił, że został wysłany przez Skrzyneckiego na zluzowanie wszystkich rezerw i zdanie mu o tychże specjalnego raportu. Będąc znany gen. Klickiemu pod którym w kampanji 1814 służył, miał wielkie ułatwienie do przekonania się o stanie tych zakładów.

Oprócz gen. Klickiego, ciągle złożonego słabością, złamanego wiekiem i poniesionemi ranami, któż był taki co się chciał z duszą i przekonaniem szczerze zająć tą ważną gałęzią administracyj wojskowej—jąką jest cała organizacja?

Generałowie Weysenhoff i Żółtowski ciągle pjani, niczem się nie trudnili; generałowie brygady: Kamieński Józef, Stryjeński, Szeptycki i jeszcze dwóch innych, których nazwiska nie pamiętam, szli za przykładem pierwszych. Co się tyczy stabsoficerów i oficerów, desperacja brała patrzeć na zgromadzenie takich ludzi do niczego. Do rezerwy wysłano tylko to, co do czynnej służby zupełnie było niezdolne, zapominając, że tylko przez czynność niespracowaną, sumienną i energję oficerów armja się odnawiać może i zapełniają się ubytki ze śmiertelności lub niewoli wynikające.

Podoficerowie i żołnierze pałali chęcią wrócenia do czynnej armji; cała prawie spieszona jazda, co cudów męstwa dokazywała pod gen. Dwernickim leżała nieczynnie. Młodych nie wprawiono do służby. — Masa koni już kompletnie zdrowych, co wyszły z infirmerjów (to jedno dobrze było prowadzone) stały bez przygotowanych siodeł i przyborów, a oficerowie, co się liwerunkami tych kategorji zajmowali, napełniali krwawym groszem kieszenie, nie spiesząc z dostawami, bo się o nie nikt surowo nie upominał*)

Piechota jeszcze gorzej jeżeli być może stała. Broni palnej prawie nic nie było. Ta, którą za drogie pieniądze dostawali z Galicji, była prawie nie do użytku. Bagnety przylutowywane łamały się za najmniejszem trąceniem. Ale i ci, co tę broń liwerowali, i ci, a na czele ich kupiec lwowski Glikseli, wielkie porobili pieniądze — nowe pułki strzeleckie 11 i 6ty uzbrojone tylko w kosy nic prawie maszerować nie umiały. Rezerwy starych pułków wałęsały się po małych garnizonach; z młodych zaś, nie mając nad sobą surowej kontroli, rozchodzili się pojedyńczo do domów. Taki był po większej części stan rezerw wojska polskiego. — Broni robić nie umiano, jednak w kuźniach sandomierskich i krakowskich robili dobre wcale pałasze i lance, ale i tych bardzo mało produkowano. Co się tyczy dział, wyszedł rozkaz, ażeby w Białogonie lali żelazne polowe, ale przez cały czas wojny do sierpnia ledwie wykończono trzy 3-funtowe działa, które były tak ciężkie, tak niezgrabnie olawetowane, że ważyły tyle jak zwyczajne 12 funtowe.

Sformowano z nich nakoniec pół baterji, która się dostała do korpusu gen. Różyckiego i trudna była do użycia dla swej wagi i lichych zaprzęgów. Ta półbaterja umundurowana była tak, jak Gw. Narodowa warszawska i dla tego liniowi artylerzyści za nic je mieli. Ci zaś za to należeli do wszystkich klubów.

Co się tyczy amunicji, kul i granatów różnego kalibru, dużo wylano w kuźnicach, ale o proch co raz było trudniej. (C. d. n.)

---

*) Niejednemu poglądy autora zdawaćby się mogły pesymistycznemi; tak nie jest, obrazy jego są wierną fotografją owych czasów.

Z za więziennej kraty.

Poezje więźnia stanu z r. 1846.

XII.

Wyszedłem na mur okna i świat pozdrowiłem,
Noc była, ale jasna, tajemnicza — cicha —
Czułem, jak wszystko piło z roskoszy kielicha
Miłej wiosny; jam także pił, lecz co? łzy piłem...

I kratę twardą, zimną do serca tuliłem —
To moja luba! — ona nie kłamie — nie wzdycha,
Ni mnie wabi do siebie, ni z wstrętem odpycha.
Lubię takie istoty — kratę polubiłem!

Głowę ciężką myślami składam na jej łonie —
W jej pręty, jak w kochanki włosy, plączę dłonie,
Jej śpiewam moje pieśni i łzami ją poję.

Nikt nie uwierzy, jak my szczęśliwi oboje!
Raz mi rzekła: — „Dla ciebie wolności podwoje
Nie otworzą się nigdy — strzaskaj na mnie skronie!“

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

Rozdział II.

(Ciąg dalszy.)

Zróbmy użytek z prawa, którego nikt dotychczas nie zaprzeczył autorom, i podsłuchajmy treści tej rozmowy, chociażby nam się to miało udać jedynie fragmentami. P. Alfred wszedł był do salonu, a ztamtąd do budoaru panny Heleny tak szybko, i z wyrazem twarzy tak „nie-swoim,“ że jeden rzut oka wystarczył jej do poznania, iż sprowadza go niezwykła jakaś okoliczność. Spojrzenie to, którem go przywitała, było badawcze, ale spokojne i tak chłodne przy tem, że bohater nasz zatrzymał się na środku pokoju, jak gdyby nie wiedział, co ma mówić lub zrobić.

— Nie spałeś znowu — rzekła z flegmą. — Grałeś, nieprawdaż, i jak zwykle, nie miałeś szczęścia? Nie usiłuj wypierać się przedemną — dodała, widząc ruch, który zrobił w tej chwili. — Wiesz, że byłoby to daremnem.

— Nie przyszedłem żalić się przed tobą, ani szukać pociechy, odparł ponuro. Wypierać się nie mam ani przyczyn, ani ochoty. Porzućmy te żarty — dodał siadając na karle, naprzeciw niej, i wpatrujac sie w nią oczyma, w których bezsenność i niepokój walczyły z usiłowaniem przybrania energicznego wyrazu. Przyszedłem rozmówić się z tobą stanowczo.

— Stanowczo? — zapytała, przeciągając ten wyraz, jak gdyby chciała udać lekkie zdziwienie. O czem-że my jeszcze możemy mówić „stanowczo?“ Sądziłam, że rozumiemy się zbyt dobrze, byśmy potrzebowali wyjaśniać sobie cokolwiek. Najmniej zaś potrzebujemy, i możemy mówić „stanowczo“ jedno z drugiem.

— Więc jednem słowem, powiedz mi, czy idziesz za Zameckiego, czy nie?

— Nie wiem. Nie oświadczył mi się jeszcze. Sądzę atoli, że zrobi to temi dniami.

— A wówczas.... zostaniesz jego żoną?

— Dla czego mię pytasz, skoro nie wątpisz o tem? Czy jako długoletni przyjaciel domu, w życzliwości twojej odkryłeś, że związek ten z tej lub owej przyczyny uczyni mię nieszczęśliwą, i chcesz mię ostrzedz przed niebezpieczeństwem, które mi grozi? Czy Zamecki może w sekrecie narobił długów i zrujnował się? Czy ma jakie gusta kosztowne, w skutek których w przyszłości grozi mu strata majątku? Czy nakoniec jak Sinobrody, morduje jedną żonę po drugiej, a ja mam być także taką, z góry upatrzoną ofiarą?

— Heleno, jesteś bez serca, bez litości. Szydzisz ze mnie z taką zimną krwią, że nie mam nadziei, byś zrozumiała, co się dzieje we mnie. Sama niezdolna przywiązać się do nikogo, chociażby tylko węzłem najlżejszej sympatji, nie pojmujesz, że człowiek, którym pogardzasz, którego depcesz jak robaka, może kochać, i to kochać namiętnie, do szaleństwa. Kiedyś mi powiedziała, że nie będziesz nigdy moją żoną, ugiąłem się przed tym wyrokiem, bo nie miałem prawa żądać ręki kobiety, którejbym nie mógł dać dachu i ogniska domowego, nie miałem prawa żądać, abyś wiązała twój los z moją egzystencją gorzej niż zachwianą. Uśmiechaj się, o... śmiej się głośno, ale słuchaj. Nie myślę tracić słów i frazesów, z którychbyś szydziła, powiem ci krótko, że nie zniosę nigdy, byś została żoną drugiego, i że przeszkodzę temu.

P. Alfred zerwał się był, mówiąc te słowa, drżał i był bardzo blady, a pot zimny wystąpił mu na czoło. Helena wpatrzyła się w niego spokojnie, jak przedtem, gdy wszedł do pokoju, ale wzrok jej nie zmięszał go tym razem. W twarzy jego było więcej determinacji, niżby się kto spodziewał widzieć w tych pięknych, miękkich rysach.

— Przeszkodzisz temu? — zapytała go. — Jakimże sposobem?

— Zabiję Zameckiego!

— Siadaj, mój Alfredzie, siadaj, i nie zmuszaj mię, mówić ci takie rzeczy, któreby miały pozór urągania albo prowokacji, podczas gdy nie mam zamiaru ani urągać, ani prowokować. Siadaj i słuchaj mię spokojnie.

— Powtarzam ci, że go zabiję — zawołał p. Alfred w dzikiem, wściekłem uniesieniu.

— Nie, nie, nie zabijesz go, mój kochany, siadaj-że, proszę ciebie.

— Wierz mi, albo nie wierz, wszystko mi jedno, wykonam moją groźbę prędzej, niż się kto spodziewa!

— Nie wykonasz jej wcale, i nie pojmuję, w jakim celu ją wygłaszasz. Jeżeli sądzisz, że zmusisz mię tym sposobem do dania kosza Zameckiemu, to jesteś w błędzie. Wszak odmawiając mu mojej ręki, nie mogłabym zostać jego żoną; przyjmując zaś jego propozycję, i narażając go na to, czem mu grozisz, zostawiam sobie jeszcze zawsze tę szansę, że on zabije ciebie, a nie ty jego. Na tę szansę, mój drogi, ty się nie narazisz, jesteś za piękny, abyś chciał pozbawiać świat jednej z jego najkraśniejszych żyjących ozdób, narażając się na kulę szlachcica, który bił się w dwudziestu bitwach i posiada krzyż za odwagę, chociaż go nie nosi i nie chwali się nim nigdy. Siadaj-że, proszę ciebie.

— Ha, tego już za wiele... krzyknął p. Zgorzelski, i wydobył z kieszeni nie wielkie jakieś narzędzie, zaopatrzone trzonkiem ze słoniowej kości. — Kobieto, będzie to zasługą przed Bogiem i ludźmi, zgładzić ze świata taki potwór, jakim ty jesteś! Widzisz tę broń? Będzie dość, dla ciebie, i dla mnie. Przekroczyłaś wszelkie granice, potargałaś wszystkie węzły, pchnęłaś mię na ostatnie krańce rozpaczy. Giń! Giń!

Podwójnemu temu wykrzyknikowi towarzyszył drugi odgłos także podwójny, ale znacznie słabszy. P. Alfred zwrócił był rewolwer ku Helenie, i ręką drżącą od wściekłości ciągnął za języczek tego morderczego instrumentu. Młotek podnosił się i spadał z trzaskiem, znamionującym aż nadto wyraźnie, że broń nie była nabitą. Helena wstała była, gdy podnosił rękę, i wyciągnęła dłoń ku niemu, wołając rozkazującym tonem:

— Połóż mi to natychmiast, tu, na stole! Czy ty mię masz za pensjonarkę, którą się straszy w ten sposób? Czy sądzisz, żebym się zlękła, gdybym nawet nie miała pewności, że powyjmowałeś wszystkie naboje z rewolweru, nim go przyniosłeś tutaj, dla odegrania tej komedji? Sądziłam, że masz więcej rozsądku, i że znasz mię trochę lepiej. Powiedz mi wprost i bez ogródek, czego chcesz odemnie, bo wiesz, że nie ulegnę ani groźbie, ani przymusowi. Nie jesteś stworzony na to, ażebyś m n i e mógł przestraszyć.

Alfred cisnął rewolwer na ziemię, i popatrzył się w koło, jak człowiek, który się budzi ze snu bardzo ciężkiego i niemiłego. Grał on niezawodnie komedję, ale jako dobry aktor, przejął się był na wskróś swoją rolą, do tego stopnia, że wstrząśnienie, jakiego doznał, nie było o wiele mniejszem, niż gdyby był na prawdę powziął i wykonał zamiar zamordowania Heleny i siebie. Na chwilę oniemiał pod ciężarem śmieszności, na którą się naraził, lecz naraz oczy jego przybrały wyraz nowy, nie zwykły. Wyglądała z nich złość trzeźwa, spokojna prawie jak owa zimna krew i duma, z jaką Helena przyjmowała jego szamotania się poprzednie.

— Sądzisz — rzekł, że nie potrafię cię nastraszyć? Tym razem, ja ciebie przekonam, że jesteś w błędzie. Wszak chcesz być panią Zamecką, chcesz mieć stodwadzieścia tysięcy złotych polskich dochodu, chcesz mieć męża z dobrem nazwiskiem, który ci zapewni świetną pozycję, ażebyś nią i pięknością twoją mogła błyszczeć w świecie?

— Chcę, i będę miała to wszystko. Mam-że raczej zostać twoją żoną, abyś za kilka wieczorów przegrał w karty wszystko, co mi zostało, i abyś mię później wywiózł za granicę, i sprzedał może za obopólną zgodą, jakiemu bogatemu cudzoziemcowi? Mówiłam ci już, że wolę sprzedać się sama, od razu, i w sposób nie rażący oka ludzkiego. Nie mam ochoty stać się przedmiotem handlu wywozowego.

— A jeżeli się nie znajdzie kupiec na miejscu? Nie zapominaj, że nie dobiłaś targu, i że Zamecki może się namyśleć, zwłaszcza....

— Zwłaszcza, jeżeli co?

— Jeżeli pójdę do niego, powiem mu wszystko i zaprotestuję przeciw waszemu związkowi w imieniu praw, które mam, i których mi odmówić ani zaprzeczyć nie możesz.

— To j e s t groźba! — zawołała Helena, i zamyśliła się, wzruszona po raz pierwszy od początku tej rozmowy. — Powinieneś był zacząć od tego, wszak wiedziałeś, że ci uwierzę, jeżeli mi obiecasz zrobić coś niemęzkiego, podłego, nieuczciwego! — To rzekłszy, zaczęła chodzić po pokoju, miotana widocznie sprzecznemi uczuciami. Alfred usiadł i z tym samym, co pierwej, złośliwym wyrazem w oczach patrzył na nią, jak gdyby był dumnym ze swojego zwycięztwa. Po chwili stanęła przed nim, oparła się ręką na poręczu karła, na którym siedział, i rzekła:

— Zdaje mi się, żem cię zrozumiała, chociaż nie domyślam się jeszcze, czego zamierzasz wymagać odemnie. Miałabym niemal ochotę, pomięszać ci szyki, bo nie cierpię, by ktokolwiek korzystał ze swego położenia i dawał mi czuć swoją przewagę nademną. Wszak mogę zrobić sama to, czem mi grozisz. Mogę powiedzieć Za-

meckiemu, wyznać mu to wszystko, czegoby się mógł dowiedzieć od ciebie. Mogę dodać, że cię znienawidziłam, że potrzebuję pomocy i obrony przed tobą. A wówczas, wiesz, coby zrobił Zamecki? Nie domyślasz się tego, bo twoje szlachetne porywy nie sięgają dalej, jak twój nienabity rewolwer. Wiesz — Zamecki wziąłby parę pistoletów, ale, rozumiesz, nabitych, i zaproponowałby ci, abyś z nim w lesie, o dziesięć kroków, powtórzył tę scenę, której repetycja udała ci się tak wybornie przed chwilą, gdy siedziałam naprzeciw ciebie, nie mając w ręku nic, oprócz wachlarza. Mogę mu opowiedzieć historję tej repetycji.....

— Byłabyś w stanie!

— Byłabym! Wolę jednakowoż nie robić tego. Zamecki pognębia mię i bez tego swoją wyższością, chociaż nie miałam sposobności ani potrzeby czuć się upokorzoną wobec niego. A więc — *soyons amis, Cinna!* Powiedz mi otwarcie: potrzebujesz pieniędzy?

— Potrzebuję.

— I jesteś *au bout de tes ressources;* domyślałam się tego po heroicznych postanowieniach, z któremi tu przyszedłeś. Jaki ty zabawny, mój „Alfie!“ Czy nie lepiej było nie obwijać rzeczy w bawełnę? Wszak wiesz, że skoro zostanę panią, i osiądę na zamku w Rymiszowie, nie będę stawiała kościołów ani klasztorów, a kasa moja będzie zawsze do twojej dyspozycji. Teraz niestety, nie mam pieniędzy....

— Ale masz kredyt. Musisz mi podpisać weksel. Jestem w rozpaczliwem położeniu.

— Na jaką sumę?

— Potrzebuję dwudziestu tysięcy.

— To za wiele, stracisz to od razu. Weź teraz pięć, a piętnaście dam ci po moim ślubie. Kładę tylko ten warunek, abyś bywał u nas jak najrzadziej, póki nie pójdę za mąż.

P. Alfred wyjął z kieszeni blankiet, ale nie ten, który podpisał był sam poprzednio, wypełnił go, a Helena podpisała go w miejscu, które jej wskazał. Poczem, nie tracąc czasu, wybiegł drugiemi drzwiami, aby nie musiał witać się i rozmawiać z p. Podwalską i z ks. Stodolskim, przechodząc przez pokój, w którym ten ostatni pił kawę.

P. Simche Berger czekał już na niego pod drzwiami jego pomieszkania. Gdy się dowiedział, że zamiast jednego tysiąca, ma pożyczyć pięć, począł robić trudności, których nie usunęło bynajmniej przedstawienie, że podpis panny Podwalskiej jest prawdziwym, i że może pójść przekonać się o tem. P. Simche Berger był widocznie specjalistą „od takich podpisów,“ których eskontowania nie podejmował się p. Aron Goldstein. Obstawał on koniecznie przy tem, że na tak wielką sumę, potrzeba mu koniecznie jeszcze jednego podpisu, wskazując przytem, że słońce ma się już ku zachodowi, a ponieważ, jak nadmieniłem, działo się to w piątek, więc za godzinę uczucie religijne nie pozwoli mu zawierać wcale żadnego *geszeftu*, ani z prawdziwemi podpisami, ani z fałszowanemi. P. Alfred był przyparty do muru, i kiedy p. Berger zaproponował mu, ażeby zaopatrzył weksel podpisem p. Tadeusza Zameckiego, wzbraniał się z początku bardzo, potem coraz mniej, a nakoniec uczynił to, czego chciał p. Berger, i oddał mu weksel w zamian za 3.500 złr. gotówką.

(C. d. n.)

Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym,

zestawił

L. Tatomir.

(Ciąg dalszy.)

Samojedzi, którzy niegdyś koczowali z trzodami renów na całym obszarze od prawego brzegu Dźwiny arktycznej aż po Jenisej, wyparci zostali powoli ze swoich siedlisk przez mnożących się coraz bardziej Rossjan i Syrjenów, tak że obecnie koczowiska ich ograniczone są na półwysep Kanin, północne odnóża Uralu ku wyspie Wajgacz i na okolice nad dolnym Obem. Namiętność do gorących napojów, którą Rossjanie na własną wyzyskiwali korzyść, nietylko zmniejszyła znacznie liczbę tej ludności, lecz nadto pozbawiła ją jej trzód, jedynego jej bogactwa. Trzody te przeszły w posiadanie nowych właścicieli, u których większa część Samojedów przyjęła służbę pasterzy. Dla wódki gotów też Samojeda zawsze sprzeniewierzyć się swojemu panu i naruszyć jego własność, chociaż zresztą jest wiernym i przywiązanym. Wrodzony pociąg do koczowniczej włóczęgi robi go niezdolnym do zajęć, połączonych ze stałem osadnictwem, i prócz pasterstwa do niczego innego nieużytecznym. Nieliczne jego potrzeby zaspokajają w zupełności reny i rybołowstwo. Powierzone sobie, lub swoje własne trzody pasą Samojedzi w zimie po południowej stronie tundrów, na granicy lasów, gdzie ren znaleść może jeszcze i pod śniegiem jakie takie pożywienie. Z początkiem ciepłej pory roku wypędzają ich z tych okolic roje złośliwych much, których ukąszenia są wstanie zabić nawet rena. Wówczas ciągną przez tundry na północ, na wybrzeże morza i na pobliskie wyspy, gdzie lepsze znajdują pasze.

Pomimo usiłowań rządu rossyjskiego trwają Samojedzi dotąd w pogaństwie i nieprzystępni są cywilizacji. Nawet ci, którzy dali się ochrzcić pozostają w głębi duszy poganami, jak nas o tem dowodnie przekonał bałwan pogański umieszczony tuż pod obrazem chrześcjańskim w samojedzkiej czumie. Ponieważ przejście na wiarę chrześćjańską przynosi im kilka rubli nagrody, dają się więc dosyć chętnie chrzcić i często się zdarza, że ponawiają ten akt po razy kilka. Schwytany na gorącym uczynku, tłómaczy się naiwnie Samojeda, że przepiwszy otrzymane za pierwszy chrzest ruble, chciał sobie znowu kilka rubli zarobić! Przy chrzcie i bierzmowaniu dostaje każdy jakiś święty obraz, który dla większej trwałości bywa zazwyczaj malowany na blasze. Nowochrzczeniec przechowuje najwierniej nowego patrona w swojej czumie, żegna się przed nim i uderza obowiązkowe pokłony, ale obok tego modli się zawsze do dawnego bałwana, do którego w każdej potrzebie nierównie więcej ma zaufania. Jeżeli przypadkiem spełni się, o co prosił, wtedy bałwan w tem większe wzrasta znaczenie, a święty chrześcjański idzie w odstawkę. Jeżeli zaś bożek jego, którego w czasie wędrówki zawsze przy sobie w kieszeni nosi, w nieszczęściu mu nie pomoże, to łamie go i rozdziera, rozsypując kawałki wśród przekleństw na cztery wiatry, poczem wycina sobie nowego bałwanka, ubiera go i tak długo adoruje, aż pokąd i ten jego nadziei nie zawiedzie“.

Kilka godzin powyżej Kuji opuścili podróżnicy austriaccy parostatek i przesiedli się na łodzie, aby na nich dalszą odbywać drogę. Przeszło miesiąc trwała ta niewygodna i męcząca podróż. Nieraz musieli Syrjeni, służący za przewoźników, ciągnąć linami łodzie; często wypadło nocować pod gołem niebem, a we wsiach zamieszkanych po największej części przez Syrjenów i z rzadka rozrzuconych po brzegach Peczory i jej dopływów, które są tutaj tak w lecie jak w zimie jedynemi drogami, mało co więcej nad mleko dostać było można. Dnia 12 września przekroczyli przy wsi Charinskaja koło arktyczne i odtąd okolice cokolwiek więcej były ożywione. Opodal widać było już lasy brzozowe, z któremi mięszały się coraz gęściej zarosty szpilkowe; po brzegach częściej spotykano chaty rybackie, obwieszone dokoła festonami ogromnych sieci, i odstrzelone na krawędziach lasów łowieckie szałase, a po rzece snuło się mnóstwo czółen rybackich i długich, krytych łodzi kupieckich. Syrjeni, stanowiący przeważną część ludności miejscowej, gadatliwi i ruchliwi, przyjmowali podróżnych wszędzie z ujmującą gościnnością.

„Syrjeni są silnej, ale nie wysokiej budowy, mają blond włosy, a oczy niebieskie. Odważni i wytrwali, walczą oni dzielnie z niewdzięcznością przyrody swojej mroźnej ojczyzny i utrzymują się z łowiectwa, chowu bydła, a w okolicach więcej ku południowi położonych także i z rolnictwa. Odznaczają się przytem rozumem, łatwością pojmowania i wielką zdatnością do robót ręcznych. Każdy z nich jest strzelcem, rębaczem, i cieślą; umie sobie zrobić czółno i sanie, zbudować dom i szałas myśliwski. Twardy żywot uprzyjemniają sobie śpiewem i pląsami, przygrywając przy tem na długiej piszczałce, jedynym instrumencie muzycznym, jaki posiadają. Syrjeni są jednym z niewielu pozostałych do dzisiaj szczepów, które w wieku szóstym, obejmowane wspólną nazwą Czudów, zamieszkiwały całą północną Europę aż po Ural. Pomimo rzadkiej pomiędzy ludnością tutejszą trzeźwości, zdaje się jednak, że i Syrjeni nie ujdą losowi Samojedów i w przyszłości pochłoną ich zupełnie nowi tych krain właściciele. We wsiach rossyjskich pełno widać dzieci, podczas kiedy po wsiach syrjeńskich bardzo mało ich się spotyka, pomimo że Syrjeni zawierają małżeństwa jak można najwcześniej. Żona nie jest mężowi ciężarem, zarabia bowiem na chleb pracą rąk swoich i wyjąwszy polowanie podziela wszystkie trudy z mężem. Nie widzieliśmy też nigdzie starej dziewczyny, jak również nie spotkaliśmy w całej tej podróży żadnego żebraka ani kaleki.

Ponieważ cerkwie nie we wszystkich wsiach się znajdują, wodleglejszych osadach odbywają się więc wesela bez kapłańskiego błogosławieństwa ale ze wszystkiemi obrzędami tradycyjnemi. Kościelne błogosławieństwo otrzymują tacy małżonkowie częstokroć dopiero po wielu latach, kiedy im się zdarzy sposobność odbycia podróży do miejsca, gdzie się znajduje cerkiew. Jest pomiędzy nimi także wielu starowierców, którzy jednak nieszczególnem w gminach cieszą się poważaniem. Trzymając się tej zasady, że nie to jest grzechem, co w usta wchodzi, lecz to co z ust wychodzi, nie palą tytoniu, ale za to piją na zabój.

Ubiór tutejszych mieszkańców składa się z kurty bez guzików, której poły zakładają się jedna na drogą i opasują pasem. Za pasem zatknięta jest nieodstępna siekiera obok wielkiego noża. Spodnie szerokie nisko założone w cholewy wysokich butów, uszytych na kształt pończoch ze skóry wołowej, owczej lub renów. Po wierzchu wdziewają przestronną opończę z kapturem,

przepasaną również pasem. Opończe te uszyte są także ze skór i bywają często różnokolorowemi wyszywaniami zbytkownie ozdobione. Krój ich podobny jest do kroju szarafanów, które noszą kobiety, wdziewając je tak jak koszulę przez głowę.

W każdej choćby najmniejszej wsi znajduje się łaźnia, której używanie poczytują za rzecz niezbędną do zdrowia. Uboższe mieszczą się w prostych chałupach, złożonych z dwóch izb, tj. z właściwej parni i z przedsionka. W jednym kącie parni rozpalają na ognisku kamienie, które oblewają wodą i tak wytwarzają parę. Kąpiący się mają zwyczaj wybiegać nago z tej parni i w zimie tarzają się w śniegu, w lecie zaś wskakują w wodę, poczem powracają do łaźni, aby gorącą parą wywołać napowrót przerwaną nagle transpirację.

Daleko od wsi, u wstępu do głuchych borów spotyka się odosobnione chaty łowieckie, zbudowane z grubych pni sosnowych, a mające tylko po jednej izbie z wielkim piecem. Obok każdej takiej chaty stoi mały świronek, wzniesiony na palach około 6′ wysokich. W porze łowów, która trwa tutaj dwa do trzech miesięcy, wychodzą myśliwi ze wsi i zamieszkuję te chaty, zapuszczając się z nich na całe dni w lasy za zwierzem. Świronek służy wówczas do przechowywania żywności i zdobyczy łowieckiej. Palnej broni rzadko używają z obawy zepsucia kosztownego futra i łowią zwierzynę pospolicie tylko w łapki lub sidła, które z zadziwiającą zręcznością umieją zastawiać. Myśliwi, których kilku zdarzyło nam się spotkać, zaopatrzeni są w strzelby, proch, ołów w sztabkach, torbę na żywność, małą igłę magnesową w drewnianem pudełku, w siekierę i nóż, a nakoniec w cały pęk cienkich a mocnych sznurów z żył renów do robienia sideł. O odtylcówkach nikt tu nie ma wyobrażenia i w powszechnem użyciu są zawsze jeszcze tylko starodawne strzelby ze skałkami, z których strzelają przyklęknąwszy na jedno kolano i oparłszy lufę na kiju, trzymanym lewą ręką. Chcąc nabić swoją strzelbę odgryza strzelec kawałek ołowiu ze sztabki, i urobiwszy zeń kulę zębami, wbija ją w lufę przemocą, zastępując ladsztok pierwszym lepszym kijem.“

Pominąwszy Iszmę i Zylmę, przesiedli się podróżnicy austrjaccy w Rożdynie na mniejsze łódki, któremi dopłynęli prawie aż do źródła Iszmy. Przez dział wodny pomiędzy Peczorą a Dźwiną arktyczną, z Iszmy do Czeru, przeciągnięto łódki te końmi, poczem szła już raźniej podróż z wodą do Wiczegdy, Wiczegdą do Keltmy północnej, dalej kanałem Katarzyny do Keltmy południowej i do Kamy. Przebywszy kilkanaście mil drogi, od Czerdyna do Nowego Usola na osi, wsiedli napowrót na statek i przybyli na Perm i Kazań do Nowogrodu Niżnego, zkąd udali się koleją na Moskwę i Petersburg do domu.

* * *

Nim jeszcze Wilczek powrócił ze swojej podróży nadeszły były drogą na Tromsö dwa listy od Weyprechta, w których tenże donosił, że przybył do wybrzeży Nowej Ziemi, gdzie spotkał się z Isbiörnem, i przypuszczał, że pisze na prostym papierze, gdyż opłynąwszy z Tromsö, uniesiony radością, że więcej listów pisać nie będzie potrzebował, wrzucił w morze cały swój zapas papieru listowego i kowert. Od tego czasu nie otrzymano żadnej wiadomości o Tegetthoffie, a i Wilczek nic więcej o nim powiedzić nie mógł nadto, że się z nim roztał w końcu sierpnia u wysp Barenta, zkąd Tegetthoff popłynął ku północnemu-wschodowi, a Isbiörn ku południowi.

(C. d. n.)

POGADANKI.

VI.

Życie zapustne, im bliżej dobiega popielcowego swojego kresu, tem żywszem uderza tentnem. Stało się, jak przewidywałem: z początku potrzeba było napominać i przypominać, że już minął Adwent i że czas bawić się, bo Wielki Post niedaleko. Napomnienia te były bezskutecznemi, i jak zwykle, ochota długo drzymiąca w ostatnich dziesięciu dniach karnawału wybuchła dopiero formalnym szałem. Bal po balu, reduta po reducie, pikniki, wieczorki, wszystko to tłoczy się i następuje po sobie bez opamiętania. Potrzebaby posiadać zdrowie jednego z tych szlachetnych rumaków, które dniem i nocą ciągną dorożki lub stoją w zaprzęgu i oczekują rozkazów szanownej publiczności — ażeby w takich warunkach pełnić obowiązki kronikarza karnawałowego. Nie będę tu wskazywał różnic filozoficznych zachodzących między tem pożytecznem stworzeniem a literatem lwowskim w ogóle, ręczę tylko, że znalazłyby się one po głębszem zbadaniu rzeczy, i konstatują, że pod względem wytrwałości współubieganie się z koniem dorożkarskim, możebnem jest chyba jednemu z moich braci w Apollinie, którego bliżej wskazać nie mogę, ale który w istocie dokazuje cudów od czasu jak ciągnie za włosy postęp narodu, powierzony rączości jego umysłowych kopyt. Nam mniej szczęśliwie od natury obdarzonym potrzeba częstszego spoczynku i wytchnienia, co do mnie zaś, oświadczam stanowczo, że mam ochotę przeżyć szalejące obecnie pokolenie, ażebym pamięć jego czynów „zachował ludziom, przechował na wieki.“ Dlatego też postanowiłem usunąć się od wybryków zapustnych, i jak gdyby już minął Popielec, szukać objawów życia i ruchu poza salą balową i poza maskaradami.

* * *

Objaw taki sygnalizują właśnie z Krakowa. Zawiązał się tam komitet w celu popierania składek na kupno obrazów Matejki. Zaraz pierwsze sprawozdanie wypadło nader imponująco. Najpierw uderzają w niem trzy historyczne nazwiska, nie wplątane w proces Offenheima i niefigurujące w żadnej Radzie Zawiadowczej — obok nazwisk zaś, czytamy piękne, okrągłe sumy pieniędzy — nie w tym rodzaju, jak np. 49 *L.* 19 *sh. twopence, halfpenny*. Hr. Artur Potocki, syn śp. Adama, dał 1000 zlr. ks. Aleksander Czartoryski 500 zlr. a nakoniec, dołączył do tego Stanisław hr. Tarnowski wcale przyzwoitę „porcję“, wynoszącą 500 zlr. Spodziewam się, że przeciw takiej porcji nietylko nikt we wschodniej Galicji protestować nie będzie, ale nawet, że szlachta ziem ruskich idąc za przykładem danym z Zachodu, przezwycięży tym razem swój wstręt tak dobitnie objawiony, i „porcje“ posypią się z Podola, z Pokucia, z ziemi Żydaczowskiej i Bełskiej i od granic Wołynia równie obficie, jak niedawno sypały się protesta.

Jak gdyby dla stwierdzenia, że sztukа polska zasługuje na to, abyśmy się nią jak najmocniej zajmowali, poruszyła ona temi dniami prasę zagraniczną w sposób nader dla siebie pochlebny. Jest już mowa o s z k o l e polskiej w dziedzinie malarstwa, a w gronie artystów naszych, rozrzuconych po całym świecie, odzywa się uczucie łączności i solidarności. Właśnie doniosła wiedeńska *„Neue freie Presse“*, że malarze polscy, zamieszkali w Monachium, i stanowiący — jak powiada ten dziennik, „wcale znaczną *(stattliche)* kolonję artystyczną, zamierzyli utworzyć niejako osobną grupę na wystawie austrjackiego Tow. sztuk pięknych“ która odbędzie się b. m. w Wiedniu. Brand nadeszle między innymi trzy obrazy. Zapowiedziany jest także najnowszy obraz Matejki, przedstawiający poświęcenie dzwonu Zygmuntowskiego. Tak to w Berlinie przypominamy się światu z trybuny, a w Wiedniu stwierdzamy naszą żywotność czemś tysiąckroć dosadniejszem od słów: patrzymy z tamtąd nie na „Wschód“, ale na zachód, i co ważniejsza, zachód tam na nas patrzy.

* * *

Pierwszą wzmiankę o tworzącej się szkole malarstwa polskiego znalazłem w fejletonach p. Bayersdorfera z Monachium, umieszczanych w wyżwymienionem piśmie wiedeńskiem. Autor tych artykułów, pisanych z głęboką znajomością rzeczy, i z wielką bezstronnością, chociaż nie bez pewnego nerwowego rozdrażnienia, zastanawiał się najpierw nad różnicą w pojmowaniu sztuki u Francuzów i u Niemców. Zwróciwszy, jak się zdaje, główną uwagę swoją na *Κατ ἐξοχήν* tak zwany „rodzaj“, nadmienia, że Francuzi w dziełach sztuki przedewszystkiem szukają f o r m y, podczas gdy Niemcy formalnie zachorowali na i d e ę i w kazdym obrazie cenią najwyżej to, jeżeli im się uda odgadnąć jego p r o g r a m. P. Bayersdorfer wykazuje, że jakkolwiek francuski sposób pojmowania, czasem prowadzić może do tego, że lada „nic“ pięknie przedstawione znajduje wielbicieli, a tem samem, wykonawców — to jednakowoż sztuka sama przez się mniej na tem cierpi, niż na „programowości“ niemieckiej i na ujęciu w szablony spekulatywnej filozofji. Otóż zwiastuje on opozycję, budzącą się w Monachium przeciw temu specyficznie niemieckiemu sposobowi widzenia, i jako główną i pierwszą grupę, stojącą samoistnie, wskazuje Polaków. Ustęp ten zbyt jest interesującym dla czytelników polskich, bym go tu nie miał powtórzyć w całości. Kto go chce odczytać w oryginale, znajdzie go w *„Neue freie Presse“* z dn. 29. stycznia r. b. P. A. Bayersdorfer pisze:

„Osobną taką i znaczną grupę tworzą malarze polscy (żyjący w Monachium) i pobratymcy ich wschodnio-europejscy. Sztuka ich jest pochodzenia francuskiego najnowszej daty, i porusza ona się nieco jak obca wśród naszych niemieckich, starzejących się już kulis, złożonych z widoków Königssee i Dachsteinu, wśród naszego bydła w naturalnej wielkości, naszych wesel chłopskich, bójek, chrzcin, lichych konceptów i trywialności wszelkiego rodzaju, za których pomocą nasi domowi fabrykanci obrazów „z szykiem lub bez szyku“ nie przestają dawać świadectwa ubóstwa swojemu widnokręgowi umysłowemu. Talentem i zręcznością ci malarze polscy przewyższają „przeciętnego artystę niemieckiego zwykłej kategorji“ a w krótkim czasie umieją oni nabyć zdumiewającej wprawy technicznej, z łatwością, która ma

zakrój natawistyczny.“ Natomiast nie wielu pomiędzy nimi posiada wybitną indywidualność artystyczną — owszem, pewien wspólny, gatunkowy sposób pojmowania natury i pewna niemniej wspólna biegłość techniczna, nie wynikająca z właściwości indywidualnych cechuje większą część ich obrazów, jednostajnych wprawdzie, ale znakomitych, pomimo ascetycznego wyboru treści. Prawie wszystkie ich prace tak są do siebie podobne, że doprowadzają pamięć do rozpaczy, niepodobna bowiem po niejakim czasie odszczególnić jednych od drugich, zwłaszcza gdy chodzi o utwory mniej bijące w oko — podobnie jak trudno odróżnić nazwiska twórców. Wielką ich sojuszniczą i potężną mistrzynią jest natura, a może jeszcze więcej fotografja. Ich obrazy czynią takie wrażenie, jak gdyby artysta patrzył na świat, bystrem, nieożywionem okiem aparatu fotograficznego.“

„Najznakomitszym między nimi, i w ogóle celującym artystą jest (nieżyjący już niestety) Maksymilian Gierymski, którego dzieła nadają ton i kierunek pod względem smaku, zręczności i oryginalności, wznoszą się po nad ogół produkcji i należą do najlepszych dzieł, jakiemi w ostatnich czasach pochlubić się może sztuka w Monachium. Przedewszystkiem umie on nadać swoim dziełom więcej jeszcze interesu kolorystycznego, niż jego towarzysze. W wyborzę przedmiotu wszyscy Polacy, nie wyjmując Gierymskiego, są wcieloną skromnością. Przedstawiają oni naturę w jej dniach postu i pokuty, kiedy posypuje głowę popiołem i czyni zadość za zbytek, którego się dopuściła. Parę tonów, urozmaiconych krótką skalą kolorów, wystarcza im na obraz. Robią efekt nie-efektowności. Malują najabsolutniejsze nic i pokładają ambicję w tem, aby ile możności zbliżyć się do punktu idealnego zera. Taki młody „pan Władysław“ idzie w wieczór dumniejszym krokiem na piwo, jeżeli mu się powiodło zrobić obraz z większego jeszcze „nic“, aniżeli tego dokazał jego sławny ziomek Vtzliptzli.“

„Gierymski tedy i towarzysze jego przedstawiają naturę w jej najbiedniejszej płótniance: kawałek stepu polskiego, pustynia porosła niebujną trawą i burzanami, a dająca sześć mil bezpłatnej perspektywy w siną dal — na pierwszym planie czasem ogromny zbytek: wielki burzan, albo kałuża — karczma z białą ścianą w pełnem świetle słonecznem, albo i cała wieś: ciemna kupa domów pogrążona w zmroku — las z jak najskąpszym drzewostanem — nieco smętnej roli pod ołowianem, dżdżystem niebem jesiennem: jednem słowem, pejsaż dla samobójców; rozmyślna trzeźwość i premedytowane przedstawienie jak najuboższej przyrody. Alež natomiast charakter miejscowości i pora dnia ujęte są z prawdą zdumiewającą, i wszyscy niemieccy naśladowcy tego francuskiego (?) rodzaju pejsażów prześcignięci są w tych obrazach. Wiele płócien ożywionych jest figurami: polskich chłopów, myśliwych, kozaków, są nakoniec odpusty, jarmarki, sceny kwaterunkowe i td. — często nawet ten żywy element jest głównem zadaniem obrazu. Pomimo to obrazy zostają pejsażami, chociażby przedstawiały po sto figur chłopów i kozaków. Człowiek bowiem traktowany tam jest tak chłodno, jak okolica — jest on produktem ziemi, zarówno jak burak, albo krzak tarniny — nie zaś istotą świadomą siebie, odłączoną od matki przyrody i tejże czynnie przeciwstawioną. Całe zajęcie artysty skupia się wyłącznie w zjawisku kolorystycznem, odpychając wszelką świadomość rzeczy, wszelkie poznanie ich empiryczne. W takich warunkach człowiek i zwierzę, drzewo i chmura są w oczach artysty przedmiotami równo uprawnionemi. Widzi on je tylko „fizykalnie“, jako konfiguracje kolorów określone charakterystycznemi konturami, a rozum jego pracujący tylko technicznie, nie dopuszcza wiedzy rozpoznawczej do udziału w pracy. Objektywność tego rodzaju, jaką kokietuje formalnie najnowsze malarstwo francuskie, jest niezawodnie właściwem dla pejsażysty stanowiskiem, jest ona atoli tylko formą, nie zaś treścią widzenia. Psychiczne odczucie przedmiotu, antropomorficzne ożywienie krajobrazu, które u wielkich malarzy holenderskich staje się odzwierciedleniem duszy, tutaj napotkać można zaledwie gdzieniegdzie, w śladach drzymiącego niejako przeczucia. Przeważa, jak powiedziałem, trzeźwe, fotogramatyczne widzenie rzeczy, przypominające wrażenia podróżnego, z okna wagonu na krajobraz pozbawiony interesu. Jednakowoż, dzięki delikatności i prawdzie tonu, obrazy te nie są bez poezji, która powstaje sama przez się w skutek zetknięcie się duszy widza z łudząco-wiernem oddaniem natury. Jest to poezja wybitnych nudów, wyobraźni mechanicznie spoglądającej w próżnię, posuchy i pustkowia beznadziejnego w życiu umysłowem. Jednem słowem, z obrazów tych pozbawionych wewnętrznego ciepła, patrzy na nas groźnie podnoszący się nad stuleciem: duch nihilizmu.“

Powiedziałem, że krytyka p. Bayersdorfera nie jest wolną od nerwowego rozdrażnienia, i przyzna to każdy, kto porówna ostatnie jego słowa z tem, co mówił poprzednio o sentymentalizmie niemieckim, schodzącym z pola. Pod pewnym względem, zarzut nihilizmu zrobiony realistom francuskiej szkoły, jest trafnym — niesłusznie atoli pada on tutaj na naszą szkołę monachijską. Natura stepów i równin polskich jest ubogą w tony i przemawia do duszy widza jedynie ogólnem swojem wrażeniem: nie ma tu miejsca na to, co Niemcy nazywają *„gemüthlich, innig.“* Ażeby oddać wiernie to wrażenie, nie pomogą sztuczki, potrzeba sztuki, i p. Bayersdorfer pochwalił przeto naszych rodaków najwięcej tam, gdzie ich chciał ganić. Wrażenie natury naszej jest smętne, ale smęt nie jest nihilizmem, tak jak tęsknota nie jest pustynią duchową. Gdyby krytyk był Polakiem, uderzyłaby go ta różnica. *„Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen.“* Zresztą, obok szkoły naszej w Monachium, która zdaje się zajmować w malarstwie naszem podobne stanowisko, jak szkoła ukraińska w poezji, — a raczej, obok tych malarzy, o których mówi p. Bayersdorfer, mamy w innym, większym rodzaju artystów wprost odmiennego kierunku. Tam natura przedstawianą bywa fotogramatycznie, tutaj ona i człowiek jej przeciwstawiony, mają cechy podmiotowe, genjalne, i tak to w malarstwie polskiem smętne niebo i powietrze stepowe z jednej, a duch narodu z drugiej strony składają się na wspólny wyraz, uderzający znamionami indywidualności i odrębności rodowej. Wyraz ten znajdzie krytyk w sali „Kunstvereinu“ ujrzawszy Matejkę obok Gierymskiego i jego towarzyszy.

Jan Lam.

Piśmiennictwo polskie.

(Kantecki Klemens. Elżbieta trzecia żona Jagiełły. Opowiadanie historyczne. Lwów. 1874. 8o stron 99.)

W monografji tej przedsięwziął autor na podstawie historycznych źródeł, narysować rzetelny obraz Elżbiety Granowskiej „rzetelny“ powiada autor, gdyż uważa przez Długosza nakreślony obraz tej królowej za fałszywy, za tendencyjny. Rehabilitacja ta Elżbiety nie jest atoli nowością, pomysłem autora, jak nam na kilku miejscach zaręcza p. K.; zawdzięcza ją autor „tylko mimochodem wspominającemu o Elżbiecie Carze.“ Prawdziwie fanatycznego opisu tego historyka (Geschte. Pol. III. 475—488.) trzyma się pan K. niewolniczo, gdyż niczego więcej nad Carę nie powiada, prócz kilku sprostowań z Zeissberga i Grünhagena. Rehabilitacyjna więc ta monografia Elżbiety Granowskiej, jest tendencyjną kompilacją, a właściwie rozwodnieniem Cary na 99ciu stronicach. Prawdziwie zabawnem nazwać możemy to rozwadnianie opisu Cary, mające jakoby zbić opowiadanie Długosza, gdy autor podobnie jak Caro nieznając źródeł innych, stara się zdaniami odpisywaczy Długoszowych jak Bielskiego, Kromera itd. przekonać o tendencyjności oryginału. Nadto już sama teza autora, jakoby król (prawie sześćdziesięcioletni starzec) miał się zakochać w Elżbiecie Granowskiej, wdowie po trzech mężach (matce dorosłych synów i córek) jest prawdziwie za daleko i za głęboko pojętą. Gdy atoli dodamy, że p. K. jakoby naoczny świadek opowiada na kilkunastu kartkach szczegóły tego romansu, nie będziemy w tym przypadku odmawiać autorowi często sobie przypisywanej samodzielności i oryginalności, co we wszystkich zresztą innych razach zakwestjonować nam wypadnie.

Główną nadto wadą autora jest, iż poświęca rzecz samą, rzeczywiście pięknej formie—a z tego powodu popada w nudne gawędziarstwo, którego w monografiach roszczących pretensje do naukowości unikać należy. I tak już na wstępie wierzy autor w Paprockiego jak w wyrocznię, gdy powtarza za nim ładną bajeczkę o kronice spraw toporczyków od początku prawie Polski! (str. 7.) Autor wie, że Otto z Pilczy był „zapobiegliwy, gospodarny, że wzorowo administrował“—słowem rozpisuje się przedstawiając genealogję Pileckich, na 8miu stronicach, które mógł wygodnie do dwu zredukować. I do dwu następnych stronic 12 i 13, odnosi się ten zarzut, gdyż mieszczą się tam stylistyczne elokubracje, pod względem historycznym bezwartościowe.

Ważniejsza atoli kwestja zajmuje nas na stronicy 14. Caro (III. 478 i nast.) dowodzi, że Długoszowe podanie o trzech mężach Elżbiety przed zamążpójściem jej za Jagiełłę, jest fałszem, a na tym dowodzie buduje cały gmach swej rehabilitacyjnej tezy. Gdy tu oczernił bowiem Długosz Elżbietę, mógł łatwo i w dalszem opisie znęcać się fałszami nad nieszczęśliwą królową. Argument ten Cara znajdujemy rozwodniony u K. na stronicach 14—21. Ma się rozumieć, że przy tej sposobności nieomieszkał p. K. „zadać kłam słowom Długosza“ i porządnie zniesławić Wielkiego kłamcę dziejów naszych. Rzecz się atoli ma inaczej i gdyby był autor tylko trochę samodzielniej pracował i na źródła większą uwagę zwracał, byłby się przekonał, że kamień węgielny powyższej tezy Cara jest nadzwyczaj kruchy. Zdanie bowiem Długoszowe o trzech mężach potwierdza nietylko współczesny królowej Jan z Posilge, lecz i dopełniacz Szamotulskiego rocznika Traski, (Bielowski. Mon. Polon. II. 1869.) przezco niewiarygodność prawdziwie ze studencką lekkością posponowanego przez autora Długosza, jest już w najważniejszym punkcie z gruntu zakwestjonowaną.

*

Miasto atoli badać dzieje Pileckiej i oglądać się na inne źródła prócz podręczników jak Caro, wskazuje autor na Zeissberga Vincencius Kadłubek, pracę nie mającą z rehabilitacją Elżbiety żadnej styczności, traktuje nas świeżem dziełem Girgenschna — słowem poczyna otwierać kram swej bibliograficznej erudycji na dobre. Nawet uwolnić był winien autor czytelników od zbyt częstych odsyłaczy, po największej części znajdujących się już u Zeissberga, Cary, których jak str. 17. uwaga 2 wykazuje, niezrozumiawszy fałszywie użył. Dalej jest uwaga 2 str. 19 wprost z Cary (III. 479) wypisaną, a uwaga trzecia znajduje się również u Cary.

W ustępie piątym atakuje autor Encyklopedję Orgelbranda. Mimowoli pytamy, a cóż tu Encyklopedja robi? Jak Piłat w Credo, wlazł zkądinąd ceniony J. Bartoszewicz w monografię p. K. i musi się poddać razom kompilatora. Nie nietaktownem ale wprost cynicznem nazwać musimy wyrażenie się: „W takie to brednie popadają ludzie itd." cudzemi piórkami podszytego autora. Dalej o stronę przyjdzie i Carze odebrać złośliwy uśmiech od tłumacza jego badań. Bo gdy Caro pomięszał w jednej uwadze (III. 479—80) matkę Elżbietę z córką, a Zeissberg i Grünhagen dowiedli mu mylność twierdzenia, korzysta z uwag tych uczonych autor, a nieumieściwszy nawet odnośnika, komu tę uwagę zawdzięcza, wyśmiewa Carę, z którego kompiluje (str. 24.) Niech się atoli tem pocieszy p. Caro, że autor po krótkiej pauzie z nim się pogodzi, bo wiernie z innej pracy jego odpisywać będzie.

Ustęp VI. mający nie złą feiletonową wartość nie należy do rzeczy. — Ustęp VII. ma na celu zapoznać nas z „młodą wojewodzianką" (według najkorzystniejszych dla Elżbiety obliczeń lat jej, miała lat 37!) która pod wrażeniem sieroctwa i niedoli, wcześnie dojrzewała w umyśle i sercu. W takim lirycznym nastroju opuszcza autor Carę, Zeissberga, aby puścić wodze bujnej swej imaginacji. Zręczne użycie tłumaczenia Długosza i romantyczne rozwadnianie tegoż, przedstawiają wcale piękne ustępy (str. 12—17, 25—36) lecz tylko pod względem stylistycznym. Gdzie Długosz nie wystarcza, tam Niesiecki, Paprocki, Okolski, Kromer itd. są źródłami autora. Dość na poparcie naszego zdania jeden dobitniejszy przykład przytoczyć. I tak Bielski II. 571. mówi: „że gdy wyjęto kości Elżbiety z trumny — snać wnioskuje on — to białogłowa musiała być subtelna i cudna." Risum teneatis — i te słowa Bielskiego służą autorowi za dowód, że Elżbieta gdy szła za Jagiełłę była „piękną i cudną." Ostatecznie, w historji wdzięki królowej nie mają najmniejszej wagi, a gdyby był autor nie niewolniczo kompilował z Cary, byłby przyszedł do przekonania, że słowa te Bielskiego, o wdowie już po trzech mężach, o matce kilkorga dzieci, której córka z trzeciego małżeństwa w kilka miesięcy po ślubie matki idzie za mąż, że te słowa o kobiecie, którą współcześni „iam provecte etatis feminam" nazywają, mogą się do pierwszej młodości Elżbiety odnosić, zwłaszcza, że tenże sam Bielski o wdziękach jej, kiedy już poszła za Jagiełłę wcale inaczej, a bardzo niepochlebnie się wyraża.

Jak więc widzimy, uzupełnienia Cara są bezpodstawne, dodajmy teraz, że przebija się w nich wyraźna tendencja rehabilitacyjna. Dowodem tego (str. 44.) okoliczność, że autor przedstawiając nam zakochanego króla, nie chce aby tenże gdzieindziej starał się o czyjąś rękę, jak tylko o rękę Granowskiej. I pomimo że współczesny kontynuator Jana z Positge mówi, iż Jagiełło starał się o rękę księżniczki moskiewskiej i pomimo, że wydawcy dodają: Uebrigens erzählen auch Briefe des Ordensmeisters von dieser Bewerbung des pol. König um Wasilij's Tochter," mimo to wszystko, nazywa autor kronikarski ten zapisek „fałszem wymyślonym w celu pozbawienia Polski i króla sympatji chrześcijan zachodnich(!)" Jeszcze śmieszniejszym jest odnośnik, w którym autor na poparcie swego widzimisię powiada, że i Teodor Narbutt przychyla się do naszego zdania(!!).

Opis romansu króla z Elżbietą zasługiwałby prawdziwie na wyszydzenie, gdyby nie okoliczność, że p. K. w dobrej może wierze romans ten opisuje. O gdyby wiekopomny nasz król — scharakteryzował ten romans autora pewien uczony lwowski—był zostawił pamiętnik swego romansu z Elżbietą, pewnie by był doń nie dopuścił tak czułych, sentymentalnych scen, jakie autor podsuwa szanownej lecz starej już parze. „Jak szarym i bezbarwnym wydawał się Jagielle świat, jak nie zaznał on do tej chwili co to miłość prawdziwa, jak z niecierpliwością wyczekiwał przybycia ukochanej" itd. —wszystkie te ciekawe wiadomości zawdzięczamy naszemu kronikarzowi romansu króla Jagiełły z Elżbietą.

W ustępie o kancelarji polskiej i jej stosunek do Elżbiety, zapomniał autor w kompilatorskim swym zapale z Cary o Zeissbergu (Anal. 349—351) pominął zdanie tego autora, dla tego też rozminął się podobnie jak Caro z prawdą historyczną zupełnie.

Według zdania mojego nie grzeszy autor nadmiarem zarzucanej mu erudycji, gdy jak widzieliśmy rozwadnia tylko tezę Cara w swojej monografji. Wszystkie prawie noty, zawdzięcza on komu innemu a nie swojej erudycji. I tak str. 43 uw. 3. miasto ob. Długosz 181 winien był autor powiedzieć ob. Caro III. 476. O wypadku z piorunem str. 76. można by się domyśleć, że autor sam tę rzecz zbadał. Ciekawą jest nota str. 82. o hrabiach, „że od czasu Ludwika węgierskiego już nie masz po tytułach comesów śladu." Skąd pytamy się wiadomość ta wcale nowa? Na str. 83. fałszywy odnośnik 2. gdyż Hartknoch nie może dać nam rękojmji co do prawdziwości o wiadomościach z epoki piastowskiej. Mylną jest poprawka Długosza str. 88 uw. 1. ob. Zeissberg. Anal. 352. Uwaga na 93 str. znajduje się u Zeissberga 349, uw. 22; „o trzecim tomie Janoc." na 88 str. u Zeissberga na 352. itd.

Te więc erudycje są bądź cudze, bądź mylne, inne znowu są zbędne konotatki, spisane więcej dla własnego, aniżeli czytających użytku.

Jak się poszywa autor w cudze piórka, widzimy z uwagi str. 97, w której zaręcza, że wszystkie szczegóły o Ciołku czerpie z umieszczonych (w Liber cancellariae) listów i dokumentów o Ciołku. Polecamy szanownym czytelnikom porównanie tekstu autora, ze wstępem Cary do wydanej przez niego książki str. 7 i nast., aby się dowodnie przekonali do jakiego stopnia powyższe zdanie jest nieprawdziwem.

Co do zdania autora o Annie Marowieckiej, o Długoszu, o Jastrzębcu, o Zbigniewie i o Maucellarji, o stosunkach ich do Elżbiety niechcemy się tu wdawać w polemikę, gdyż byłaby to polemika z Carem, a błędną tezę jego na innem miejscu sprostować zamyślam. Ubolewać mi tylko przychodzi nad autorem, który Helcla cytuje a dzieła tego uczonego niemiał w ręku. Na stronie bowiem 40 pisze p. K. że o małżeńskiem pożyciu Elżbiety wiemy jedynie tyle, iż ją pan Bóg pobłogosławił potomstwem, złożonem z kilku córek i jednego syna imieniem Jana. Zdanie to, co najmniej niedokładne, gdy się z Helcla II. 133. N 881, 144. N 965, 157. N. 1063 przekonujemy, miała Elżbieta syna Ottona a córkę Jadwigę. Wliczając do tej pary Jana i Elżbietę, miałaby Granowska już dwóch synów i dwie córki. Prócz tych miejsc nieznane są autorowi z Helcla zapiski na str. 54, 63, 77, 100, 101, 117, 122, 132, 133. N 877, 252. N. 1735, 252. N. 1742.

Jak się więc przekonujemy, monografja powyższa jest źle zrozumianą rehabilitacją Elżbiety — a pracą tylko kompilacyjną. Oryginalna jej strona to owe fantazje na temat Cary nieoparte na źródłach historycznych, tendencyjność przeto autora nie jest wcale usprawiedliwioną.

Pracą historyczną monografię tę żadną miarą nazwać byśmy nie mogli, na romans zaś jest za zbyt sztywną; a kiedy po latach wielu, jakiś bibliograf nie potrafi zdać sobie sprawy do jakiego rzędu pism monografię tę zaliczyćby wypadało, recenzja moja nie da mu żadnych pod tym względem informacji, gdyż wynikła ona w obronie wiedzy historycznej, od napadów ze strony rozmarzonej wyobraźni i odpisywaczy obcych badań.

Antoni Prochaska.

Piśmiennictwo zagraniczne.

(Ciąg dalszy).

(Promenade autour du Monde par le Baron de Hübner; 3 edition; Paris, Hachette — 1874. — Przechadzka dokoła świata barona Hübnera.)

Po uwagach najgłówniejszych, odnoszących się do Nowego-Yorku, opuszczamy dalsze, i przechodzimy do Washingtonu, o którym br. Hübner mniej więcej tak mówi:

„Ktoby życzył sobie zaczerpnąć dokładnego wyobrażenia o urzędowej stolicy Stanów Zjednoczonych, bez odbycia podróży na miejsce, niechaj odczyta opis p. Antoniego Troloppe. Jestto obraz fotograficzny; brak w nim wprawdzie kolorytu, ale rysunek i podobieństwo są doskonałe. Prawie żałuję, iż się nie zadowalniam niemi dostatecznie,

Mamy powietrze ciężkie, upał duszący, kurzawa i komary dokuczają nieznośnie. Hotel zwany Arlington-house, a uczęszczany przez świat biurokratyczny, przez senatorów, mężów stanu, tudzież osoby interesowane, należy do karawan-serajów najmniej przyjemnych nowego lądu. Przepędzam noce pod gazową siatką, jakkolwiek i ta nie chroni zupełnie od ukąszeń owadów; godziny zaś południowe upływają mi w salach dolnych lub pod werandą.

Mnóstwo gentlemenów rozpostartych w fotelach usiłuje wraz ze mną spędzić najgorętszą część dnia ile można najznośniej. Palą cygara, żują prymkę, patrzą na sufit i nic do siebie nie mówią. Głuche milczenie panuje w obszernych komnatach. Słychać tylko brzęk much i muszek, a od chwili do chwili przerywa jednostajną ciszę stąpanie służby o obliczach mniej więcej bronzowych, tudzież pachołków znoszących gazety, listy i telegramy. Czasami i zamieć z ulicy przeciska do salonu tuman spiekłego pyłu. Zapewniają, że w Buenos-Ayres, a nawet w Rio-Janeiro lato bywa mniej uciążliwe i szkodliwe dla zdrowia.

Dlatego kto może, umyka pod tę porę z Waszyngtonu. Prezydent zbiera się właśnie w drogę. P. Fish już wyjechał. Ciało dyplomatyczne i szefowie departamentów idą w ślad za nimi. Izba poselska zamknięta; senatorską zamkną za dni kilka, to jest 1go czerwca. Byłem na ostatniem jej posiedzeniu, rozprawy nie zdawały się być ożywione. Mówiono

chłodno i spokojnie, co mię troszkę zdziwiło; gdyż my Europejczycy, pomimo że spory w naszych Izbach są niekiedy pełne krewkości, wystawiamy sobie, iż pod kopułą kapitolu amerykańskiego nie obejdzie się bez zniewag wzajemnych i bez wystrzałów z rewolwerów. Nie widziałem tam wszelakoż niczego podobnego.

Dwóch zacnych senatorów toczyło walkę z dworską przyzwoitością, a wymowa ich dobitna i dźwięczna przypominała kratki sądownicze, które dla tych dygnitarzy nie musiały być kiedyś obcemi. Podnosili oni i zniżali głos naprzemiany, uderzając wielkim palcem prawej ręki w dłoń rozciągniętą lewej. Koledzy ich zajęci byli tymczasem czytaniem i pisaniem, a niektórym powieki mrużyły się do drzymki. Nikt na uboczu nic gadał ani szeptał; lecz też i nikt nie zwracał pilnej uwagi na zapasy parlamentarne; wystąpienie mowców przeszło jakby niespostrzeżone.

Koniec posiedzenia miał na celu rozwiązanie ważnej kwestji co do Alabamy i wzmocnienie osłabionych nieco stosunków przyjaznych pomiędzy Wielką Brytanią a Rzecząpospolitą Ameryki północnej. Pełnomocnicy rządu angielskiego opuścili Waszyngton przed paru tygodniami, a wydalenie się ich dostarczyło przedmiotu do różnych domysłów. Mówiono o tem w Anglji, w chwili gdym wsiadał na statek; następnie słyszałem rozprawiających o tejże samej materji w Nowym Yorku, potem w wagonie, w stolicy i wszędzie. Zdają się nie mówić o czem innem.

Synowie Albionu żałują jednogłośnie, że zbieg okoliczności zmusił ich do pewnych ustępstw; lecz z drugiej strony pocieszają się wmawiając w siebie, że tym sposobem przyczyna zatargów między dwoma państwami usuniętą przecież została. Wedle nich zadowolenie wzięło górę nad gniewem: uczucie cechujące Anglików.

W Ameryce zaś ludzie polityczni objawiają niepokój co do wartości traktatu. Pytają się między sobą, czy załatwienie trudności można brać za stałe. Słyszałem kilka osób miejscowych, dwóch senatorów i gubernatora jednego z większych Stanów utyskujących na niepewność pod tym względem. Jest-li ona szczerą czy zmyśloną? Niewiadomo. W przekonaniu atoli szerszych kół publiczności układ waszyngtoński jest aktem względów i uznania potęgi Stanów Zjednoczonych przez rząd angielski. Anglja więc kapitulowała! Ani mniej, ani więcej. Jeżeli to błędne pojęcie rozpowszechni się i zakorzeni w ludności Unji, podnieci ono umysły, wbrew zawartemu traktatowi, do nowych zawikłań na przyszłość.

Kanadyjczycy ze swej strony nie są zadowoleni. Tych obchodzi wiecznie rybołówstwo. Poczytują się za zaniedbanych przez posłów lorda Granville, opuszczonych przez matkę ojczyznę, skrzywdzonych we własnych interesach. Jeszcze przed odpłynięciem z Europy pewien Anglik, znakomity polityk, rzekł do mnie na odjezdnem:

„Odgraniczenie Kanady jest tylko kwestją czasu. Traktat obecny przyspieszy ten rozdział. Nastąpi on w ciągu lat trzech lub czterech“.

Wiadomo powszechnie, jak od niedawna ugruntowało się w Anglji przypuszczenie utraty kolonji. Ktoby z cudzoziemców przed trzema dziesiątkami lat ośmielił się był głosić podobną przepowiednię, uznanoby go tam za wroga; gdyby zaś prorokiem tym był krajowiec, oskarżonoby go o zdradę. Dziś czasy się zmieniły. Teraźniejsze pokolenie inaczej się już zapatruje. Uważa ono to za nieunikniony cios i przygotowuje się do wypadku iż na pierwszy ryk działa wojsk Wielkiej Brytanji w starciu się z nieprzyjacielem, nastąpi oderwanie się Kanady i Australji od posiadłości angielskich. Ludzie trzymający się polityki tak zwanej *utylitarnej* upatrują tu nawet korzyści, przemawiając językiem dworaków, umiejących zawsze powinszować monarsze pozbycia się prowincji.

* *
*

Przez trzy doby, spędzone w Waszyngtonie, jadałem przy małym stole w towarzystwie młodego jeszcze i ujmującej powierzchowności małżeństwa. Był to rządca prowincji zachodniej ze swoją połowicą. Gospodarz hotelu, kierujący zwykle w sali jadalnej służbą i naznaczający z powagą gościom miejsca, usadowił nas w sposób łatwy do zawiązania ogólnej rozmowy. Rządca zagaił takową wstępem:

„Pozwól pan — rzekł — zarzucić się pytaniami, może nieco za śmiałemi, a mianowicie: jakiej pan narodowości? czem się trudni? i co go sprowadza do Stanów Zjednoczonych? Co pan powiesz o naszej Ameryce?... Wszak to piękny kraj, nieprawdaż? ogromny kraj, bardzo wielki kraj, a *very big country*.“

Można czytać niemal we wszystkich książkach opisujących świat zamorski, a najwięcej w Anglji, jako *yankeesy* są nader chciwi pochwał ich ojczyzny, że je wyzywają sami, że się w nich roskoszują, choćby były najmocniej przesadne; że najmniejsza krytyka, ba! nawet milczenie, rani ich uczucie patrjotyczne. Działo się tak istotnie; lecz wojna domowa zmieniła wiele rzeczy. Umysły dojrzały. Dzieci zepsute, wartogłowy stali się myślącymi. Amerykanie odwiedzają teraz Europę częściej niż dawniej i porzucili już próżne przechwałki siebie samych.

(C. d. n.)

Krakowskie Sukiennice

I NAJNOWSZY PROJEKT ICH ODBUDOWANIA.

(Dokończenie.)

Trudno od naszego wieku i od naszego położenia wymagać, abyśmy gmachy tego rodzaju, odnawiali z czystego amatorstwa dla archeologji, spuszczając z oka materjalne korzyści, jakie by nam z przerobienia tych gmachów i zastósowania ich do wymogów teraźniejszości, wyniknąć mogły. Wydawać tysiące i krocie, rzucać kapitały w mury bez wartości praktycznej, jedynie dla zadowolenia próżności narodowej, byłoby co najmniej śmiesznem. Jeśli więc gmach taki odnawiany — musimy się liczyć z potrzebami, jakie nam samo przeznaczenie jego wskazuje, a jakich wiek nasz wymaga.

Sukiennice np. jakkolwiek już nie są wyłącznie sukiennicami, są, jednak gmachem handlowym, kupieckim i główne to znamię, zawsze im zostać musi, jakiemkolwiek by było ich odnowienie. Drugie pytanie tyczy się znamion stylowych. Rzadko bardzo spotyka się gmach, któryby zachował pierwotny swój charakter architektoniczny. Najdobitniejszym przykładem są Sukiennice. Były one pierwotnie w stylu ostrołukowym zbudowane, ale po pożarze w 17 wieku odbudowane w stylu barokko tak, że architektura ich nosi przeważne znamiona tego stylu, pomimo że szkielet konstrukcyjny jest ostrołukowy.

Kto więc myśli odbudować Sukiennice musi zadać sobie pytanie: Ostrołuk czy barocco? Tylko te dwie ostateczności są przy odnawianiu dopuszczalne. Wszelka pośrednia droga jest samowolnością i żadnej nie wytrzymuje krytyki.

Jest jeszcze inny doniosły warunek, na który przy odnawianiu gmachów takich uważać trzeba. Warunkiem tym jest zatrzymanie rzutu poziomego — tak zwanego idealnego planu budowli, przy odnawianiu tejże. Zarówno z architektonicznych jak historycznych względów jest to warunek sine qua non. Jeżeli go zaś zachować nie myślimy — wówczas lepiej gmach cały zrównać z ziemią i inny nowy wystawić.

Przedstawiwszy tak ogólne warunki restauracji gmachów historycznych wracam do Sukiennic i planów ich restauracji. Pomijam milczeniem plany Rudzkiego i Platera — bo już samo schowanie w akta dowodzi ich wartości, a staję przed planem p. Prylińskiego, który jeszcze osądzonym nie został.

Podziwiam cierpliwość i sumienność z jaką plan ten, na kilku wielkich tablicach, pod względem rysunku jest wykonany; podziwiam zmysł kombinacyjny z jakim rozkład sal, sklepów schodów jest uskuteczniony — ale jest to jedyne dodatnie podziwienie jakie plan ten wywołał we mnie.

Projektujący — jak widać z planu — zdawał sobie sprawę jedynie z praktyczno-ekonomicznych względów restauracji, nie zastanowiwszy się ani chwili nad wymogami artystycznemi. — Czy będziemy uważali plan p. Prylińskiego jako plan restauracji, czy jako plan przebudowania, w jednym i drugim razie jest on pod względem artystycznym, chybiony. Jako plan restauracji jest błędny gdyż:

1) Zmienia plan budynku podłużny, tak dobitnie w samym nazwisku niemieckiem Tuchhalle naznaczony, na plan krzyżowy, a zatem zmienia charakter podstawy architektonicznej całkowicie.

2) Nie przeprowadza restauracji w jednym z dwóch możebnych dla Sukiennic stylów t. j. ani w ostrołukowym ani w barocco: gdyż styl w jakim p. Pryliński zamierza odbudować gmach ten nie jest stylem barocco — ale najstraszniejszym barokizmem co do pomysłu. Plan p. Prylińskiego tak zmienia postać Sukiennic, że w żadnym razie planem restauracji nazwanym być nie może.

Jako plan przebudowania jest pod względem celowości praktycznej, zupełnie odpowiednim; a pod względem architektury, wstrętnym dziwolągiem.

Projektant adoptuje cały konstrukcyjny szkielet Sukiennic, od fundamentów aż do attyki; adoptacją tą zyskuje więc już dwa style, ostrołuk i barocco; ostrołuk w konstrukcji halli przyziemnej i przypornicach, barocco we frontonach i wieńczącej attyce.

Wzdłuż całego gmachu, po obu jego bokach daje podcienia wsparte na kolumnach. Związany wymogami technicznemi, z powodu adoptacji starych murów i sklepów, nie może sobie dać rady z rozmieszczeniem symetrycznem kolumn i ratuje się najstraszniejszym dyssonansem architektonicznym. Obok arkad półkulistych, daje arkady ostrołukowe (!)

Idźmy dalej. Przez środek podłużnej osi budynku, prowadzi oś poprzeczną i dobudowuje dwa ramiona dla utworzenia krzyża. Ramię od strony kościoła p. Marji mieści podjazd i schody, ramię zaś od ulicy Szewskiej mieści w przyziemiu, półpiętrze i pierwszem piętrze lokale publiczne. Przyziemia obu ramion są przeprowadzone w stylu renesansowym; półpiętrze, z oknami kształtu podłużnego prostokąta — jest czemś tak brzydkiem, że na to wyrazu znaleźć trudno. Piętra ramion są w stylu dość czystego barocco — zaś attyka ich jest najwyżej rozwiniętym rokokiem, w obec którego attyka starego korpusu wydaje się najpyszniejszym renesansem.

Z którejkolwiek strony spojrzymy na gmach projektowany — z każdej przedstawi nam się innym co do stylu. — O jedności architektonicznej nie ma mowy. Gmach cały jest wstrętnem zestawieniem różnorodnych stylów, które się ze sobą kłócą — nie ma w nim jednego motywu, któryby był w gmachu konsekwentnie przeprowadzony. Ornamentyka balkonów narożnych i ściennych, ornamentyka frontonów, nałęczy, kolumn i kapiteli jest tak różnorodna, a zarazem tak bezstylowa — ze nie może ulegać żadnej fachowej krytyce.

Projektant pełen jest źle zrozumianego pietyzmu dla krakowskich Sukiennic. Z jednej strony adoptuje bez zmiany stary korpus, a z drugiej obciąża go dodatkami, jakie postać sukiennic całkiem zmieniają. Pietyzm ten idzie tak daleko, że nie uchyla rażących błędów architektonicznych starej budowy; że zostawia rozkład i wymiary starych okien we frontach poprzecznych, — mimo że proporcje i style ich sprzeciwiają się pierwszym zasadom estetycznym. Co więcej! Nawet tam, gdzie dyssonansów stylowych nie było — wprowadza je, aby scharakteryzować (!) dawność gmachu.

Niech mi daruje p. Pryliński — ale projekt jego jest profanacją artyzmu — i lekceważeniem zabytków przeszłości. Sama myśl o przyjęciu tego projektu za podstawę odbudowania Sukiennic — jest bezsensem.

Trudno tutaj wchodzić w szczegóły planu i wytykać po kolei wszystkie błędy. Projektant grzeszy często przeciw pierwszym zasadom nauki o formach. Niech się np. dobrze przypatrzy swoim podziemiom; — stosunkowi liczbowemu międzyosia kolumn do ich wysokości — stosunkowi między średnicą a wysokością tychże — stosunkowi strzałki nałęcza do wysokości kolumn; — a sam się przekona, że zgrzeszył przeciwko proporcjonalności architektonicznej — wskutek której jego podcienia są tak niezgrabne i ciężkie.

Przyznaję, że trudności techniczne przy adoptacji Sukiennic są wielkie, — ale jeśli przyjmiemy jeden styl w ich odbudowaniu, połowa tych trudności niknie. Nie mógł ich uniknąć projektant, idąc drogą pośrednią, którą z góry potępić wypada.

Sukiennice muszą być albo w ostrołuku albo w barocco odbudowane; inaczej wszelkie plany na ich restaurację, będą planami na zbudowanie wielkiej szopki.

Jakkolwiek jestem przeciw stylowi ostrołukowemu w budowaniu gmachów świeckich teraźniejszości, byłbym jednak ze względów historycznych i ar-

tystycznych, za odbudowaniem Sukiennic w stylu ostrołukowym. Jestto bowiem ich styl pierwotny, który się dotąd w ich konstrukcji i planie manifestuje. Szczyty ich frontonów i attyka wieńcząca są utworem czasów późniejszych — i one to dały Sukiennicom pozór dzisiejszy; zrobiły z gmachu ostrołukowego, budowę pozornie barocco.

Odbudowanie zatem Sukiennic w stylu ostrołukowym — jest zupełnie usprawiedliwionem tak historją, jak względami techniczno-artystycznemi.

Gdy jednak odbudowanie w tym stylu jest znacznie kosztowniejsze jak w stylu barocco — przeto miasto licząc się ze środkami finansowemi — nie może myśleć o ostrołuku. Pozostaje mu więc druga alternatywa — borocco. Trzeciej pośredniej nie dopuszcza rozumu pietyzm, dla przeszłości, nie dopuszcza historja i względy artystyczne. Jeśli nie chcemy lub nie możemy iść jedną z dwóch dróg wskazanych — lepiej zburzmy Sukiennice do szczętu i nowy gmach na ich miejscu postawmy.

Aut Caesar — aut nihil!

W. Wdowiszewski.

O POPRAWIE
społecznego i ekonomicznego stanowiska kobiet.

Studjum podług Dr. Fr. Holzendorfera.

(Ciąg dalszy.)

Kobieta angielska działa otwarcie, z pewną chlubą występuje na widownię publiczną ze swemi uczynkami dobremi, pochodzi to nie zaprzeczenie ztąd, że osobistość kobiet działających samodzielnie w jedyny i charakterystyczny sposób objawiać się tam może. Zarzut, jakoby kobieta zapominała o swej niewieściej skromności i wystąpieniem na szerszą arenę życia narażała swą osobę na krytykę w oczach świata, w Anglji już dawno przebrzmiał bez echa, chociaż w całej Europie zachował jeszcze do dziś odstraszającą potęgę. Okoliczność powyższa przekonuje nas, dla czego w Anglji opinja klas wykształconych nie przestaje domagać się prawa głosowania dla kobiety, i chociaż ma ona tam także wielu przeciwników, to przecież nikomu dotychczas nie przyszło na myśl, urągać tym żądaniom, i piętnować je mianem nieuzasadnionych uroszczeń.

Pomiędzy publiczną działalnością polityczną, która dotychczas jest dla kobiety zamkniętą, a zupełną zawisłością od mężczyzn, widzimy zakres działania pośredni, stojący niejako pod kontrolą publiczności. Mamy tu na myśli zawód adwokata i lekarza. Mianowicie ten ostatni ma widoki powodzenia w Anglji, niejednokrotnie bowiem domagano się tam przypuszczenia kobiet do praktyki lekarskiej.

Przytoczenie tych żądań, naprowadza nas na główne motywa tak zwanej emancypacji kobiet, a mianowicie wypadnie nam teraz rozebrać zajęcie kobiety pod względem gospodarczym a później zarobkowym. Zajęcia bowiem adwokackie i lekarskie mogłyby tylko zaspokoić potrzeby kobiet, należących do wyższych i wykształceńszych klas, gdyż stanowią już zarobkowość wyższą, wytworniejszą.

Chcąc dokładnie ocenić dzisiejsze stanowisko kobiety, jakie zajmuje lub zająćby mogła w gospodarstwie społecznem, musimy przedewszystkiem podnieść następne czynniki: *a*) ciągły wzrost i rozpowszechnianie się machin, a tem samem i wyrobów maszynowych, które z każdym dniem uszczuplają i rugują pracę ręczną; *b*) powszechne prawie zaprowadzenie maszyn do szycia i coraz większe uznanie ich wartości w dziedzinie wielkiego przemysłu: *c*) olbrzymie zmiany, jakie zaszły w podziale pracy; wzrastająca dokładność i wytworność techniczna w środkach produkcji, co znacznie utrudnia wybór innych robót, uniemożliwiając prawie przerzucanie się z jednego zajęcia w drugie; *d*) wzrastający i groźny stosunek, jaki przybrało wzajemne oddziaływanie kapitału i pracy w obec zagrożonego stanu średniego w miastach; *e*) nakoniec najdotkliwsza sprawa, mianowicie: coraz późniejsze i rzadsze zawieranie małżeństw pomiędzy wyższemi warstwami tak zwanej średniej klasy społeczeństwa. Ze względu tedy, że te ważne fakta sięgają głęboko w życie, stanowisko społeczne kobiet musi się zmienić w dwóch przeciwnych kierunkach.

Przedewszystkiem zapowiadamy z góry, że w obec dzisiejszych stosunków ekonomicznych, kobieta z klasy wyrobniczej nie może przyczynić się w wielkiej mierze do ponoszenia ciężarów stanu małżeńskiego, w ten sposób, aby przyczyniała się znacznie do utrzymania wspólnego gospodarstwa. Prawidła nowożytnego rozdzielenia pracy, zastąpiły już kołowrotek przędzalnią, a stół zwykły, dawniej używany przez tkaczy, zajęła dziś siła pary. Przemysł i handel na wielką skalę, starając się jak najmniejszym kosztem jak najwięcej produkować, wabią w swej chciwości za najniższą stosunkowo zapłatą kobiety i dzieci wyzyskując je wszędzie w sposób niegodziwy. Co im do tego, że cała taka generacja popadnie w niemoralne życie, że cieleśnie zupełnie skarłowacieje i w końcu zmarnieje, byle one tylko zyskiwały i wszystko wyzyskiwały. Cóż je obchodzić może, że rodzinie usunie się podwalina przez brak matki lub ojca, że całe pokolenie pójdzie w rozsypkę, lub co najmniej w niemoralnym stanie pozostawione, utraci ciepło familijnego życia, pozbędzie się dla kawałka chleba łączności i solidarności narodowej, i w ten sposób pomnoży już i tak liczny proletarjat, sprzedający swe siły i życie na targu publicznym? To jest pierwsza kwestja z dziedziny gospodarczej, którą się zajmiemy. Dalej widzimy objaw głęboko sięgający w życie, mianowicie: że dziewczęta z klasy średniej przymuszone są zarabiać same na siebie; pochodzi to z jednej strony tak jak w Anglji z nierównego stosunku mężczyzn do kobiet, z drugiej zaś tkwi jeszcze głębiej w nieodpowiednim stosunku zawieranych małżeństw, które to złe zwiększa się z dniem każdym. Klasa kobiet pędzących swój żywot w panieńskim stanie, wzrasta ustawicznie. Objawy te i sposoby zapobieżenia wzrastającemu proletarjatowi kobiet, stanowić będą drugą część naszego studjum. Zajmiemy się najpierw kwestją dziewic. Od najdawniejszych wieków wiemy, że pewien procent niewydanych dziewic istniał i istnieć musiał. Daje się to jednakże w czasach dzisiejszych najbardziej uczuwać w krajach, gdzie zniesiono klasztory. Nie jesteśmy pewnie zatem, żeby kobieta wiodła życie bezpłodne i nie poczuwała się do obowiązków obywatelki i matki, ale ucieczka do klasztoru w razie zabezpieczenia sobie cichego i skromnego utrzymania na starość, była niejako koniecznym wynikiem przeludnienia w krajach, gdzie zajęciu kobiet zbyt małe pole stało otworem. Widzimy to dziś dokładniej w niemieckich krajach protestanckich. W katolickich państwach, a szczególnie w południowej Europie, znajdą i dziś jeszcze kobiety, które pragną poświęcić się dozgonnemu panieństwu lub życiu samotnemu, schronienie bezpieczne i przytulisko w klasztorach. Najzaciętsi wrogowie klasztorów we Włoszech i Hiszpanji zwykli szanować istniejące klasztory kobiece. Kościół sam uwzględniając w średnich klasach wzmagającą się niezamężność przychodzi temu w pomoc, przez to, że w zgromadzeniach swoich młodym dziewczętom przeznacza stan i nowe powołanie, nie wymagając koniecznie od nich ślubów zakonnych. Instytucja diakonic w całych Niemczech a teraz i w Anglji opiera się na kombinacji nowożytnych ekonomicznych i społecznych stosunków, godząc je z głębokim religijnym popędem i wrodzoną skłonnością kontemplacyjną niewieściego ducha.

(C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Historja powszechna konia przez Marjana hr. Czapskiego, nakładem I. K. Żupańskiego. Tom III. 1875.

W Nrach 14 i 15 podaliśmy już obszerniejszą wiadomość o dwóch pierwszych tomach tego dzieła. Tom 3ci zawiera „wypadki dziejowe i hippiczne 18 i 19go stulecia i historję konia cesarstwa rossyjskiego.“ Tu skreśla autor najprzód prześliczny obraz wiekowych starań Anglików około uszlachetnienia konia; wykazuje następnie upadek hodowli konia we Francji: podnosi ważność równości koni pod względem wojskowym, a wreszcie większą część tomu poświęca najbardziej znanym rasom konia w obszernej Rossji. Podaje tutaj bardzo zajmujące szczegóły. Mówiąc np. o rasie „rysaków“ (inochodziec) wspomina próbę wyścigową odbytą na wystawie paryskiej, gdzie koń tej rasy „Beduin“ okazał taką rączość, z jaką dotąd żaden koń świata do mety nie biegał, przebiegał bowiem 3 kilometry w 4 minuty i 45 sekund, czyli z rączością 1 m. 32 sek. na wiorstę, a ostatni kilometr przebiegł w 1 m. 29 sekundach, podczas gdy amerykańska klusaczka „Flora Tempel“, którą dotąd uważano za najrączejszą, miała tylko rączość 1 m. 36 sekund na wiorstę. Do dzieła tego dołączony będzie atlas obejmujący 91 rycin, mających związek z historją konia. Będzie to dla malarzy prawdziwy skarbiec. Na uwagę zasługuje że badania hr. Czapskiego oparte są na „teorji rozwoju,“ czyli teorji Darwina. Wykazuje on w części naukowej przedmiotu, posługując się badaniami Rütimayera, że teraźniejszy koń jest owocem kultury, utworzonym przez człowieka z zaginionych hipparionów, niezdolnych dla posługi człowieka. Dotąd żaden naród nie wydał takiego dziejopisa konia. Naszemu narodowi był zachowany zaszczyt wydać rzeczywistego dziejopisarza konia, który o nim traktuje, jako o istocie mającej znaczenie cywilizacyjne, która, jakkolwiek nie zajmuje na ziemi udzielnego stanowiska, wiecznie służąc człowiekowi, jednak dopomogła mu do osiągnięcia wyższego stopnia kultury.

— Podróż naukowa po pokoju odbyta z młodymi przyjaciółmi przez H. Wagnera. Przekład z niemieckiego. Z wielu rycinami. Warszawa. 1875.

Dzieło to w języku niemieckim stanowi tom pierwszy wydawnictwa pod tytułem: Das illustrirte goldene Kinderbuch“. Autor rozpoczyna od wiatru w pokoju, podaje historję życia muchy pokojowej, tłumaczy kwiaty powstałe z mrozu na szybach a że niektóre pokoje mieszkalne są całe z drzewa, mówi więc o drzewie, o niszczycielach drzewa, o cegle i wapnie, o roślinach pokojowych, o myszy domowej i kocie. Zbliżając się do mebli, podaje ustępy z historji naturalnej; przy fortepianie mówi o kości słoniowej przyczem opisuje polowanie na słonia itd. Liczne bardzo ryciny, bo na każdej prawie karcie, uzmysławiają opisywane przedmioty. Całą książkę czyta się z wielkiem zajęciem a choć autor napisał ją dla wieku dziecinnego mimo to znależć w niej można wiele bardzo ciekawych rzeczy i dla dojrzalszego umysłu. Po firmie (S. Orgelbranda synowie) spodziewamy się, że i dalsze tomiki tego wydawnictwa a szczególniej taka sama podróż po domu, podwórzu, lesie i polu wyjdzie w języku polskim.

— Olimp czyli mitologja Greków i Rzymian z dodaniem wiadomości o bogach Egiptu, Indji i krain północy. Warszawa. 1875.

Pani Anastazja Dzieduszycka znana i wielce ceniona autorka kilku prac znakomitych przełożyła to

dzieło z 16 poprawionego i powiększonego wydania A. H. Petiscusa. Książka ta przeznaczona dla nauki dorosłej młodzieży, dla kształcących się artystów i do użytku w wyższych zakładach naukowych. We wszystkich pismach szanownej autorki podziwialiśmy poważną wiedzę naukową i szlachetną dążność względem podniesienia wychowania piękniejszej naszej połowy. Ta poważna dążność natchnęła ją zapewne do podjęcia żmudnej pracy przełożenia na język ojczysty dzieła Petiscusa, cieszącego się już 16. wydaniem. Religja Greków wnikała, jak wiadomo najzupełniej w ich życie, bogowie greccy, ubrani w szaty ludzkie, brali bezpośredni udział w ludzkich czynnościach, każdy dar ciała i ducha, cała przyroda zostawała pod opieką jakiegoś bóstwa; cała więc historja grecka a nawet i rzymska bez dokładnej znajomości religijnych wyobrażeń tych narodów nie może być zrozumiałą, a bez zbadania tej historji niemożliwem jest zrozumienie powszechnych dziejów ludzkości. To samo odnosi się i do religij innych starożytnych narodów jak Egipcjan, Indjan itd. Po dziś dzień nie mieliśmy jeszcze tak wyczerpującego i pięknego dzieła w tej materji. Szanowna autorka wypełniła tę lukę. Zapewniać że przekład dokonany wzorowo, nie potrzebujemy; dodać tu tylko winniśmy jeszcze, że dzieło zostało ozdobione 89 drzeworytami w tekscie tudzież innemi na 27 oddzielnych tablicach.

— Wiara w czary w obec badań przyrodniczych Wilhelma v. Waldbrühl. Tłumaczenie z niemieckiego. Warszawa. 1874.

— O wynikach statystyki zaludnienia i obyczajów Gustawa Schmoller. Tłumaczenie z niemieckiego. Warszawa. 1874.

— Kołyska. Komedja w jednym akcie wierszem Michała Caré i Juljusza Barbier. Przełożył z francuskiego Bronisław Przyrembel. Warszawa 1874.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Spieszymy zapisać tutaj wielce pocieszający objaw z życia młodzieży naszej. Wydział czytelni akademickiej tutejszej wiedziony poczuciem obowiązków jakie ma młodzież względem otaczającego ją ruchu politycznego, naukowego i społecznego, powziął szczęśliwą myśl urządzenia tak zwanych „Pogadanek“ na którychby młodzież zdawać sobie mogła sprawę z objawów każdego z powyżej wymienionych kierunków, wyrażać zapatrywania swoje na bieżące sprawy, a wszystko to w ożywionej dyskusji. Myśli tej serdeczny oklask dajemy. Szczęśliwa ona ze wszech miar, — zwiąże bowiem młodzież z życiem, zwróci jej umysł ku wyższym i poważniejszym celom i zawczasu oswoi z rolą, która prędzej czy później na arenie publicznego życia ją czeka. Pierwsza taka pogadanka odbyła się w poniedziałek dnia 1. b. m. omawiano na niej kwestję „Porcji“ podniesioną przez p. Tarnowskiego. Rozumie się że zdrowy zmysł młodzieży oświadczył się ostatecznie przeciw prof. Tarnowskiemu w tej sprawie. Na przyszły raz postawiono jako temat „pogadanki“ interesującą kwestję: „Czy kara śmierci przyjęta w kodeksie karnym austrjackim jest w obec nauki uzasadnioną?“

— O ile dobrą wiarą i prawdziwie chrześcijańską miłością kierują się pewne sfery, niech na dowód posłuży fakt następujący: Przed trzema tygodniami zaczęły wychodzić we Lwowie dwa pisma ludowe „Wieniec“ i „Pszczółka.“ Redakcja tych pism jest wzorowa i na wskróś katolicka, bo taką być powinna, pisząc dla ludu. Zarzutu najmniejszego uczynić jej nie można, ale ponieważ redaktorowie „Przeglądu lwowskiego“ wydają także pismo dla ludu pt: „Chata,“ przeto lękając się dzielnego współzawodnika, kierowani „zawiścią chleba“ uderzyli nie na „Wieniec“ bo nic nagannego znaleźć w nim nie mogli, ale na redaktora i wydawcę tego pisma, aby tym sposobem zdyskredytować całe wydawnictwo. Oto do bra wiara ludzi, którzy przyświecać powinni miłością chrześcijańską! Ponieważ „Wieniec“ i „Pszczółka“ rozesłane na okaz w tysiącach egzemplarzy, znajdują się dziś we wszystkich rękach, przeto prosimy każdego, do kogo nasze słowa dolecą, aby je uważnie odczytał, a przekona się, jak małodusznemi środkami walczą pewne osobistości, pragnące moralność wziąć w arendę. Odpowiedzią na te małoduszne napady niech będzie z naszej strony jak najgorliwsze popieranie „Wieńca“ i „Pszczółki,“ ponieważ obowiązkiem naszym pracować dla kraju a nie dla redaktorów „Przeglądu lwowskiego.“

— Zawiązane we Lwowie Towarzystwo przyrodników imienia Kopernika, uzyskawszy zatwierdzenie statutów pod dniem 22. grudnia 1874 i obrawszy na posiedzeniu dnia 17. stycznia 1875 odbytem zarząd, na drugiem posiedzeniu odbytem 30. stycznia postanowiło uskutecznić pomiary wzniesień npm. w okolicy Lwowa, pożądane przy niektórych badaniach naukowych, ale dla innych także celów nieraz przydatne, powtóre zająć się rozbiorem chemicznym wód studzien miasta Lwowa i jego przedmieść. O ile praca ta dotyka bezpośrednio zdrowia mieszkańców miasta naszego, szczere i ochocze znaleźć powinna poparcie.

— „Moskiewskie wiedomosti“ zamieściły następującą wiadomość: „Donoszą nam z Petersburga, jakoby gazetę „Ruski mir“ miał nabyć na własność znany warszawski bankier p. Kronenberg. Dodają, że do tego pisma mają przejść wszyscy współpracownicy dawnej redakcji „Petersburskich Wiedomości,“ a jako redaktora wymieniają księcia A. Wasilczykowa.“

— Składki na zakupno „Unji“ Matejki postąpią teraz raźniej, ponieważ w Krakowie zawiązał się komitet, złożony z osób wpływowych, na którego czele stanął tamtejszy burmistrz, Dr. Zyblikiewicz. Pierwsza zaraz składka przyniosła około 2.500 guldenów. Hr. Artur Potocki przeznaczył na ten cel 1000, hr. St. Tarnowski 500, a kilku innych panów po 100 guldenów. Po skończonym karnawale powinni delegaci komitetu rozwinąć jak największą energję, abyśmy jak najprędzej mogli od Matejki otrzymać obraz na własność.

— Pan Piotr Szostakowski, fortepianista i rodak nasz, pochodzący z Litwy, występował w przeszłym miesiącu po raz pierwszy publicznie w Berlinie i to z nadzwyczajnem powodzeniem. Huczne oklaski, jakie sobie zjednał grą od publiczności, nie bardzo skorej do chwalenia, mogą nam posłużyć za oznakę wartości jego gry.

— Najnowszy obraz Matejki „Zawieszenie dzwonu Zygmunta“ zakupiła pani Walewska.

— W austrjackiem Towarzystwie sztuk pięknych w Wiedniu wystawione będą od połowy lutego między innemi obrazy kilku malarzy polskich, a mianowicie „Matejki“ Zawieszenie dzwonu zygmuntowskiego; Brandta trzy obrazy i wiele obrazów kolonji artystycznej polskiej w Monachjum.

Podróże i odkrycia.

— Do kroniki wypraw podbiegunowych przybywają nader ciekawe szczegóły, ogłoszone przez dzienniki rossyjskie, o wycieczkach w głąb północnej Syberji przyrodnika geologa polskiego, p. Czekanowskiego. Jeszcze w r. 1873, a mianowicie dnia 20. czerwca, Czekanowski w towarzystwie astronoma Müllera dotarł do ostatniej na północy osady rossyjskiej Jerbohazon, położonej pod 61° 17' półn. szer. nad dolną Tunguzką i przedsięwziął był zbadanie pustych, tylko przez Tunguzów nawiedzanych nadbrzeży tej rzeki. Z wycieczki tej nasz przyrodnik przysłał do Petersburga ośm pak zawierających bogaty zbiór okazów zoologicznych i geognostycznych, a pracami topograficznemi wielce się przyczynił do wzbogacenia kartografji tych stron Syberji, przez dokładniejsze określenie brzegu rzek Tunguzki i Leny. Ciekawą jeszcze pod względem geograficznym i przyrodniczym jest przeszłoroczna wyprawa Czekanowskiego. Zamierzył on był dotrzeć reniferami aż do źródeł rzeki Olenek, potem spuścić się po niej w łodzi i powrócić pod zimę po Lenie; lecz szczegóły powodzenia tej wyprawy nie są jeszcze wiadome.

— Profesor Stefan Chytil z Loszyc na Morawie, nadesłał do gabinetu archeologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego naczynia gliniane, wykopane tamże w ogrodzie budowniczego Hladisza. Jan Evans z Londynu, sekretarz angielskiej Akademji umiejętności, przysłał strzały krzemienne z wykopalisk w Irlandji.

— Wpośród wykopalisk eskwilińskich w Rzymie znaleziono znowu jedną przepyszną rzeźbę. Jest to posąg Wenery, różniący się zupełnie od wszystkich znanych dotychczas wyobrażeń tej bogini. Szkoda tylko że piękna ta figura rozbitą jest na kilka części i że obudwu ramion całkiem jej brakuje.

— Rząd angielski oświadczył prezesowi królewskiego astronomicznego Towarzystwa w Londynie, że gotów ofiarować 1000 funt. szter. na obserwację przyszłego całkowitego zaćmienia słońca, które przypadnie w kwietniu r. b. Przedstawi ono bowiem obfitsze pole do rozmaitych spostrzeżeń, aniżeli którekolwiek inne z oczekiwanych jeszcze w tem stuleciu.

— Nieznane dzieło Michała Anioła odnaleziono przypadkowo w zbiorze sztuk pięknych hr. Lodovico Roselmini Gualandi w Pizie. Jest to prześlicznej roboty statua przedstawiająca św. Jana Chrzciciela jako czternastoletnie chłopię. Zrazu niektórzy utrzymywali, że posąg ten jest dziełem Donatelli, lecz znawcy orzekli, iż posiada on wszelkie cechy mistrzowskiego dłuta Michała Anioła.

Spadek po Tadeuszu Kościuszce.

— „Sowremiennyja Izwiestia“ komunikują, że 31 grudnia r. z. do pułkownika Dena, dowódzcy konsystującego w Moskwie pułku Pernowskiego grenadjerów, przyszedł jeden z podwładnych mu oficerów, sztabs-kapitan Estko, prosząc o udzielenie mu urlopu do Petersburga na czas nieograniczony. Pułkownik wiedząc o małych środkach pieniężnych tego oficera, radzi mu wstrzymać się z wyjazdem, prosząc razem objaśnić mu cel podróży. Kapitan Estko objaśnia, że celem podróży jest jest odebranie spadku, i to niemałego, bo kilku miljonów rubli. Wtedy pułkownik poradził mu pójść kupić arkusz papieru stęplowego, i jak wszystko będzie gotowe, przynieść mu urlop do podpisu. Po wyjściu oficera, pułkownik uznał stosownem rozpytać się o stan umysłowy jego, jakoteż o prawdopodobieństwie tak znacznego spadku, z czego wyjaśnionem zostało, że rzeczywiście kapitan Estko otrzymał z Petersburga list (z poselstwa Amerykańskiego), którym go wzywają do bezwłocznego przybycia dla odebrania spadku 11 miljonów dolarów, co na rossyjską monetę licząc dolar po 1 rubel 30 kop. wynosi 14,300.000 rubli. Sukcesja ta spada na kap. Estkę razem z jego stryjem, jako jedynym potomkom rodziny Kościuszki. P. Estko skutkiem tego natychmiast otrzymał urlop. Naturalnie w pułku zaczęły krążyć natychmiast pogłoski o tem. P. Estko ma zamiar użyć otrzymanych w spadku pieniędzy na wiele pożytecznych rzeczy, zaczynając od zaprowadzenia „pułku szkoły dla dzieci żołnierskich.“

Wojskowość.

— W austrjackich wojskowych sferach budzi wiele zajęcia, świeżo wyszła broszura p. t. „Uwagi nad organizacją artylerji austrjackiej,“ Autorstwo jej przypisują arcyksięciu Janowi Salwatorowi, zajmującemu obecnie stopień Majora artylerji. W broszurze tej ostremi zarysami i z wielką swobodą słowa wykazano wszystkie niedostatki tej broni i postawiono za rzecz konieczną, rozdzielenie artylerji polowej od fortecznej. Kończy ją projekt, jakim sposobem powiększyć artylerję polową o dwa regimenty bez obciążenia budżetu.

— Próby użycia bronzu jako materjału do lania dział odbyły się jednocześnie w Rossji, Francji i Austrji. Chodziło o to czy bronz da się zahartować. Rezultat wypadł pomyślnie. Z hartowanego i odpowiednio przyrządzonego bronzu leją już obecnie działa systemu Reffye, we Francji; Austrja także postanowiła zaopatrzyć swoją artylerję polową, w bronzowe działa, licząc, że tym sposobem oszczędzi $1\frac{1}{2}$ miljona zlr.

Gospodarstwo.

— W „Tygodniku rolniczym“ wychodzącym w Warszawie, p. Stawiński umieścił wiadomość, że jeden rolnik francuski zrobił spostrzeżenie nad chorobą bydła „karbunkułem,“ jako te stojąc w oborze głowami obrócone do muru, znać lizaniem na nim „wapna,“ uchroniły się od tej zarazy, kiedy inne jej podpadały. Ztąd wnosi, że to mógł zdziałać zawarty w murze „węglan wapna.“ Jeżeliby taki wypadek doświadczeniem stwierdzony został, byłaby to nieoceniona prezerwatywa, chroniąca od tej zgubnej i niebezpiecznej choroby.

ROZMAITOŚCI.

— W jednym z dzienników niemieckich znaleźliśmy następujące ciekawe szczegóły odnoszące się do pierwszej i jedynej miłości Bethowena, a skreślone piórem kobiecem, które tu dla wielbicieli nieśmiertelnego mistrza tonów powtarzamy. „Na wieczornem zebraniu u księstwa Lichnowskich znajdowało się świetne towarzystwo złożone z muzyków, wielbicieli sztuki i amatorów. Wykonywano kwartet utworu Bethowena a słuchacze z uwieibieniem przyjęli to nowe dzieło wielkiego mistrza. Po małej przerwie gdy towarzystwo znowu do wrażeń nowych gotowem było, Bethowen improwizować zaczął. Jak wiadomo był on znakomitym fortepianistą, a w łatwości z jaką improwizował nikt mu dotąd nie wyrównał. W pokoju w którym grał, sam jeden znajdować się lubił, i gdy to jego dziwactwo poznano, zwykle starano mu się dogodzić, i tym więc razem słuchacze w przyległym pozostali pokoju. Artysta czerpiąc w nieprzebranem bogactwie tonów, uniósł się wkrótce nad wszystko co go otaczało, a duch jego w najwyższych sferach fantazji igrając, pogrążył się wkrótce w uroczystą ciszę. Zaledwo grać zaczął, gdy jedna z pań siedzących w pierwszym rzędzie, hrabianka Julja Guicciardi, przesunęła się cicho do pokojn w którym się Bethowen znajdował. Spostrzegłszy to księżna Lichnowska, szybko powstała chcąc nieświadomą powstrzymać, ale ta znajdowała się już tak blisko fortepianu, że zwracając ją, bała się księżna więcej złego uczynić. Kilka już się razy zdarzyło, że słuchacz nie wiedząc o upodobaniu Bethowena a wiedziony chęcią patrzenia na grającego mistrza, wszedł do pokoju. Wtenczas Bethowen stawał się nader niespokojnym, grę przerywał a zerwawszy się nagle chwytał za kapelusz i nie dając się żadnemi powstrzymać prośbami, odchodził spiesznie. Osoby więc z towarzystwa, które już do takiej sceny przywykły, bały się powtórzenia jej, a tem samem skrócenia doznawanej przyjemności. Jakżeż się zdziwiono gdy mistrz pomimo że wchodzącą zaraz spostrzegł, grał dalej — zauważano nawet że całą chwilę miał w nią wzrok wlepiony, i zdawało się prawie, że jej obecność na grę jego działa. Muzyka która zawsze była mową jego duszy, stała się nagle serdecznem wylaniem, słodko i powolnie przekradała się przez struny, jak ciche pragnienie kochającego serca. Taką potęgą wrażenia improwizacja Bethowena jeszcze nigdy nie przejęła słuchaczy, wszyscy byli zelektryzowani i bezustannie spoglądali na piękną panię, która mistrza tak cudownie natchnąć umiała. Ona przysłuchując się cudownym tonom stała w głębokiem zamyśleniu — nie uważała jak grający z jej spojrzenia czerpał nadmiar najwznioślejszych myśli, i najszczęśliwszych uczuć, i jak całe towarzystwo na nią tylko zwracało uwagę. Stała spokojnie, uniesiona w nieznane sfery, obojętna na wszystko co się w około niej działo. Lekko o fortepian oparta, — smukła jej postać w białą przybrana szatę, głowa czarnemi okolona puklami, duże ciemnoszafirowe oko świecące jasno z pod długiej jedwabistej rzęsy, delikatne i inteligentne rysy, czyniły ją podobną do czarownego obrazu. Jak cień cicho unosiły się jeszcze palce artysty, ton stawał się coraz więcej słabym aż w końcu przebrzmiał zupełnie. Jeszcze chwil kilka marząc siedział Bethowen przy fortepianie, potem powstał szybko. Podczas tego towarzystwo całe także miejsca swoje opuściło. Książę Lichnowski pospieszył do artysty i pełen uniesienia ujął go w swoje objęcia, podczas gdy księżna zbliżywszy się do hrabianki prowadziła ją do Bethowena. Julja mimowolnie podążyła za nią i niebawem zakłopotana znalazła się przed mistrzem i w kilku słowach zaledwo zrozumiałych, podziękowała mu za wielką roskosz, jaką jej sprawił. Bethowen który jak wiadomo bardzo chętnie patrzył na ładne twarze kobiece, miał zwyczaj wpatrywać się w nie tak długo, jak długo mu to przyjemność sprawiało,— znowu więc spojrzeniem spoczął na pięknej Julji, która zmięszana oczy spuściła. Również jak i hrabianka był i on zakłopotany, nie wiedział od czego rozmowę zacząć, ale księstwo Lichnowscy naprowadzili ją zaraz na muzykę, księżna przedstawiła mistrzowi hrabiankę, jako doskonałą fortepianistkę, a ona z swej strony okazała tyle zrozumienia i prawdziwego zajęcia dla sztuki, że Bethowen coraz się nią więcej zachwycał i resztę wieczoru jej jedynie poświęcił. Młoda hrabianka mało jeszcze świat znała, — wcześnie straciła ojca i żyła z matką najwięcej na wsi w pięknych dobrach w Tyrolu. Odebrała wychowanie troskliwe, szczególniej jej zdolności do muzyki starannie były rozwinięte. W zimie 1799 r. przybyła stara hrabina Guicciardi do stolicy, by córkę, która 18 lat skończyła, w świat wprowadzić. W domu ks. Lichnowskich obiedwie panie po raz pierwszy słyszały i widziały Bethowena, i od tego wieczoru spotykali się się tam często. Hrabinie artysta podobać się nie mógł, zbywało mu na ułożeniu, ogładzie światowej i często zaniedbywał wszelkie salonowe formy. Inaczej zupełnie czuła i myślała córka. Jej żywe zajęcie się mistrzem wkrótce zamieniło się w miłość a że i on obojętnym nie był—odgadnąć łatwo. Julja ciężkie musiała przebyć walki nim surowej i dumnej matce miłość tę wyznała i o błogosławieństwo rodzicielskie poprosiła—po długim dopiero uporze matka dała pozwolenie. Przy wysokiem poczuciu godności własnej martwiło, Bethowena nie mało to początkowe opieranie się matki. Gdyby nie łzy i prośby pięknej Julji zaraz byłby się oddalił, by już więcej nie powrocić, lecz ona tak tkliwie prosiła, że miłość jej wszelkie jego skrupuły zwalczała. Pomimo że Bethowen kochał hrabiankę namiętnie i tkliwie i miał głębokie przekonanie iż ona to samo dla niego czuje, jednak szczęśliwym nie był. Niedowierzająco patrzył w przyszłość, utracenia ukochanej nie przypuszczał jednak nigdy. Z czasem coraz większe zwątpienie ogarniało jego duszę, wprawdzie nie oziębiało ono uczuć jego dla Julji, lecz pomało wkradała się w duszę jego ponura boleść i rezygnacja. Podobnie wielkiemu swemu współcześnikówi Göthemu, wyrażał Bethowen usposobienie duszy swojej w mistrzowskich utworach; Sonata una quasi fantasia (Cis-moll. op. 27. Nr. 2.) to znane i tyle uwielbiane dzieło było jego pieśnią skargi. Sonata ta publikowaną była 1802 roku a w oryginalnem wydaniu poświęcił ją Bethowen „Pannie Julji Guicciardi“. W utworze tym jakby się żegnał ze stratą swoją, w którą już prawie uwierzył, zniweczone widzi wszystkie nadzieje swoje i z głęboko zranionej duszy roni łzy ciche. Mimo tego serdeczny stosunek przerwanym nie został, hrabianka dawała nieustanne dowody niewzruszonego swego przywiązania, wierności i miłości nieustającej. Artysta znowu z podwójną energją i niewypowiedzianą gorliwością dążył do ustalenia swego utrzymania, nie chciał bowiem nigdy od żony zależeć. Hrabina ze swej strony ani chwili nie taiła wstrętu ku związkowi córki z prostym mieszczaninem i żadnego środka nie zaniedbywała, by dziewczę do zerwania nakłonić. Jednak Julja była niewzruszoną, a matka tak się martwiła tym jak zwała — mesalliancem córki swojej, że chorować naczęła i stan jej zdrowia w obawę wprawiał lekarzy. Do tego coraz to nowe powstawały dla Julji trudności. Bogaty młodzieniec, hrabia Gallenberg. ze starej szlacheckiej rodziny zakochał się w Julji, wprawdzie słyszał o jej stosunkach z Bethowenem. ale równocześnie przekonał się, że temu związkowi matka jest stanowczo nieprzychylną. Ztąd robił sobie nadzieje i dłużej nie odwlekał prośby o rękę Julji. Matka użyła wszystkiego by córkę przekonać i do przyjęcia tak świetnej partji nakłonić, — ale na próżno! Julja ani chwili nie zachwiała się w wierności dla ukochanego, który zatopiony w swojem mistrzowskiem zajęciu, tych wszystkich zajść przykrych ani się domyślał. Przyszło w końcu do scen gwałtownych między matką a córką: matka pozostawała nieczuła na łzy i tkliwe prośby, okrywając wyrzutami nieposłuszną córkę. Raz podczas takiego zajścia stara hrabina nagle tracąc przytomność, upadła — przywołany lekarz nie zataił córce, że życiu matki wielkie niebezpieczeństwo grozi. Szarpana bolem i żalem, bo uważała siebie za przyczynę choroby matki, podobna szalonej, ręce łamiąc, biegała Julja z pokoju do pokoju. W tej śmiertelnej trwodze błagała pomocy nieba, i przysięgła ofiarować wszystko, gdyby to tylko matkę uratować mogło. Podczas tego matka różnemi środkami ratowana, przyszła cokolwiek do siebie i widzieć córkę zapragnęła. Julja drżąc cała zawlokła się z trudnością do łóżka chorej, a padłszy na kolana przycisnęła twarz swoją do rąk matki, i łzami je rosząc błagała o przebaczeuie i przyrzekła odtąd zupełnie według jej woli postępować. Zaaledwo te słowa wyrzekła zawołała matka z radością: „Niech cię pobłogosławię drogie dziecię moje, ty mi życie powracasz czy tylko dotrzymasz obietnicy swojej?“ Głębokie, ciężkie westchnienie wydobyło się z piersi Julji, jednak bez wahania przyrzekła. Matka przyciągnęła Julję do siebie, całowała jej czoło, gładziła z czułością blade jej policzki. Ale pieszczoty matki nie mogły uzdrowić zranionego serca. Julja czuła że z boleścią swoją sama pozostać powinna, powróciła do swego pokoju, opiece wiernej starej sługi matkę powierzywszy. Czuła że w tej chwili wypełniła akt największego zaparcia się z całą świadomością tego co czyni, poświęciła wszystko co tylko życie jej miłem czynić mogło. Nie była w stanie samą ukochanemu o jego smutnym losie donieść — z przyjaźni dla stron obydwóch podjęła się tego przykrego zadania ks. Lichnowska. Z jak można największemi względami przedstawiła mu stan rzeczy i wiernie opowiedziała prawdę. Nieporuszywszy się nawet stał przed nią Bethowen, śmiertelna bladość okrywała jego lica, głosu nawet z siebie nie wydobył i chwyciwszy za kapelusz, spiesznie wyszedł. Kiedy go Julja zawiodła, zwątpił o całej ludzkości — że tak postąpiła z poczucia obowiązku i dziecięcej miłości, z obawy może by śmierci matki nie wywołać, nigdy temu uwierzyć nie chciał, — żywił silne przekonanie że tylko próżność i duma do tego ją skłoniły. Blisko w rok po tem zerwaniu oddała Julja ze złamanem sercem rękę swoją hrabi Gallenberg. Młoda para udała się do Włoch; w Neapolu bowiem r. 1806 hrabia miał kierować muzycznemi uroczystościami dawanemi na cześć Józefa Bonaparte. Później powrócili oboje do Wiednia gdzie hrabiemu powierzony, został dozór nad cesarskiem muzycznem archiwum. Hrabina spotykała się więc częściej z Bethowenem — i pomimo że stłumiła w sobie dawną namiętność, jednak w głębi serca chowała dla niego gorącą życzliwość. Starała się nawet zbliżyć do niego w nadziei, że przyjaźń nagrodzi im stracone szczęście, on jednak nie przestał być zimnym i niewzruszonym. Po upływie wielu lat, raz do jednego ze swych przyjaciół tak się o Julji Bethowen wyraził: „Gdy powróciła do Wiednia szukała mnie płacząc — ja jednak pogardziłem nią“ (Arrivée a Vienne elle me cherchait en pleurant, mais je la mèprisais). Wielu jednak twierdzi że wyraził się tak w chwilowem rozdrażnieniu. Pomimo bowiem że wbrew życzeniu hrabiny nie przystał on na zawarcie z nią stosunków przyjaźni, miał jednak dla niej, jak współcześni twierdzą, zawsze wielkie przywiązanie, a może nawet tkliwsze choć troskliwie tajone uczucie, bo żadnej nie opuścił sposobności zasięgnięcia wiadomości o jej losie. Oprócz tych dwóch utworów „Sonata una quasi fantasia“ op. 1. 2. niewiadomo czy ta miłość pierwsza i ostatnia, odbiła się jeszcze kiedy w którym z mistrzowskich jego utworów, pomimo że na całe dalsze życie jego wielki wpływ wywarła.

— W Zwierzyńcu cesarskim w Schoenbrunnie pod Wiedniem skończył życie w tych dniach okazały słoń indyjski, ulubieniec publiczności wiedeńskiej, która żartobliwie nazywała go Schoenbrunner Pepi. Ze słoni, chowanych w Europie, był to okaz największy. Z samicą, która żyje jeszcze, nabyty został w r. 1852 dla zwierzyńca cesarskiego za 3000 złr. W lecie roku zeszłego okaleczał na nogę, złożono go przeto na wiszące prześcieradła i leczono, lecz mimo wszelkich usiłowań lekarzy już się chory ten olbrzym nie podźwignął na nogi. Przeżył lat 26, jak na słonia przeto zginął przedwcześnie.

Odpowiedzi Redakcji.

Bezimiennemu. Piękny cel— ale forma nader słaba. Niepodobna umieścić.

P. E. W. K. w Muszynie. Nadesłane wiersze nie nadają się do druku.

M. I. w Mikolajowie. Inaczej złemu nie można zaradzić, jak prenumerując pierwszy kwartał naszego wydawnictwa, a ostatni z r. 1874. Obejmuje on numerów piętnaście, które kosztują 3 złr. 50 cnt. W nich zawiera się początek wszystkich utworów.

Treść Nr. 6.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego),